

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



FOT. ARMEIND NIMANI/AFP/EAST NEWS

Wywiad / M3

Moralny ekshibicjonizm klimatyczny

Ekologizm mierzy się z poważnym problemem: coraz więcej ludzi postrzega go jako ruch autorytarny, który próbuje narzucić rozwiązania dostępne tylko dla bogatych
mówi Leandro Narloch

Analiza / M5

Wyjmowanie głowy z piasku

Zmiany klimatyczne i bezpieczeństwo łączy coraz więcej sprzężeń zwrotnych, których nawet najpotężniejsi gracze na dłuższą metę nie są w stanie lekceważyć
pisze Witold Sokała



Wywiad / M8

To nie jest zwykłe „daj”

Możemy załamać ręce albo zmieniać rzeczywistość. Wolę tę drugą opcję i dlatego zaproponowałem ścieżkę stopniowego zbliżania polskich wydatków na naukę do średniej unijnej

mówi minister nauki Marcin Kulasek

USA / M10

Uczynić Amerykę piękną znów

Złoto i monumentalizm – to nie tylko prywatne upodobania Donalda Trumpa. To także polityczny przekaz o sile prezydenta dla Amerykanów i reszty świata

pisze Emilia Świętochowska



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Tania niemiecka propozycja dla rządu Tuska

Jan **Wróbel**

Polskie media poświęcają trochę uwagi artykułowi opublikowanemu w „Der Spiegel”, dużej i wpływowej niemieckiej gazecie. Autor, Jan Puhl, krytykuje własny rząd za opieszałość w sprawie wypłacania odszkodowań dla wojennych ofiar III Rzeszy.

Artykuł jest przy tym pełen zrozumienia dla polskiego punktu widzenia. Również w tej kwestii: „Tego, co Niemcy zrobili Polakom po ataku we wrześniu 1939 r., nie da się zrekompensować pieniędzmi”. A przy tym autor otwarcie pisze, że zależy mu na wsparciu obecnego rządu w Warszawie przez Berlin: „W interesie Niemiec leży, by wygrał Tusk, a nie eurosceptyczna i wrogo nastawiona do Niemiec prawica (...). Tusk mógłby rozpowszechniać przesłanie: prawicowi populiści co prawda rzucają wielkimi hasłami, ale lepiej żyje się pod rządami liberałów”. Spełnienie postulatu polskiego rządu miałyby zatem podwójny cel. Wizerunkowy oraz polityczny.

Nie każdemu w Polsce musi się spodobać taka argumentacja – wydajmy trochę pieniędzy (Puhl podkreśla, że mowa o groszach dla federalnego budżetu) wśród pięknych gestów, a zaskodzimy prawicy, pomożemy swoim. Ale cóż, skoro ten argument miałyby podzielać na niemiecki establishment...

Tyle że byłoby kłęką, gdyby jakikolwiek polski rząd zafiksował się na jakichkolwiek sumach pozyskanych dla krótkoterminowych korzyści. To, co bardzo przeszkadza w budowie relacji z Berlinem, to niemal całkowita niewiedza zwykłych Niemców na temat zbrodni z lat 1939–1945. Puhl pisze: „Większość Niem-

ców nie ma pojęcia, co ich przodkowie zrobili Polakom. Zagłada Żydów? Tak, coś tam było, ale np. akcja «Inteligencja», czyli systematyczne mordowanie polskich nauczycieli i profesorów? Nigdy o tym nie słyszeli”. Jego zdaniem decyzja o wypłacie odszkodowań przyniesie taki wzrost świadomości. Można wątpić. Po prostu niemiecka strona nie wykazywała i nie wykazuje chęci, aby upowszechniać wiedzę na temat zbrodni wobec Polaków.

Nie tak dawno przeżywalismy fale oburzenia na Kijów, gdyż okazało się, jak mało Ukraina wie o zbrodniach UPA. Po prostu nie chce wiedzieć. Nie inaczej jest u naszego zachodniego sąsiada. Jedyny szkolny podręcznik do historii, który zawiera rozbudowane wiadomości o Polsce i Polakach, to ten wspólnie opracowany i po wielu latach pracy wreszcie opublikowany („Europa – Unserre Geschichte. Europa – наша история”). Ani w Niemczech, ani w Polsce nie jest on jednak obowiązkowy.

O taki podręcznik, najlepiej wspólny dla szkół ukraińskich, polskich i niemieckich powinien się ubiegać polski rząd. I o rozpisane na lata działania edukacyjne, upowszechniające zarówno wiedzę, jak i wyjaśnienie powodów, dla których budowanie pamięci jest po obu stronach Odry (nie mówiąc o Bugu) trudne.

Można być pewnym, że taki projekt potrzebowałby większego wsparcia niż 100 mln euro rocznie (tak szacuje się koszt odszkodowań, z którymi kłopot ma Berlin). I nie powodowałby przewidywanego sukcesu rządu Tuska. Przyniosłby tylko, bagatela, sukces prawdziwy.

©P



FOT. ANDY SOLOMAN/UNIVERSAL IMAGES GROUP/FORUM

Biznes / M13

Czy Strat będzie obciachem?

Spór o prawa do najpopularniejszej gitary elektrycznej świata przerodził się w biblijne wręcz starcie korporacyjnego Goliata z rzeszą Dawidów

opowieść Mariusza Janika

DGP

Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Plące:
Agata Eichler,
Joanna Pięczykowska-
Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KiP i UiS)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FIP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wierczkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL

Prezes zarządu: Ryszard Piętkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.
Rozpowszechnianie materiałów
redakcyjnych zarówno w formie elek-
tronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Moralny ekshibicjonizm klimatyczny



FOT. ARMEND NIMANI/AFP/EAST NEWS

Ekologizm mierzy się z poważnym problemem: coraz więcej ludzi postrzega go jako ruch autorytarny, który próbuje narzucać rozwiązania dostępne dla bogatych, lecz nieosiągalne dla biednych

Z Leandrem

Narlochem

rozmawia Sebastian Stodolak

Upały w całej Europie biją rekordy, a pan twierdzi, że nie zmierzamy ku katastrofie klimatycznej. Globalne ocieplenie zachodzi, a CO₂ jest problemem, z którym musimy się zmierzyć. Ale dziś jesteśmy znacznie lepiej przygotowani na rozmaite katastrofy związane z klimatem niż sto lat temu. A jedną z przyczyn tego są paliwa kopalne.

Czy to nie one powodują te problemy?
Mamy tu do czynienia z paradoksem. Paliwa kopalne są jedną z najlepszych

rzeczy, jakie kiedykolwiek przydarzyły się ludzkości. Umożliwiły znaczną część niezwykle postępu ostatnich 150 lat. Liczba ludności świata wielokrotnie wzrosła, ponieważ społeczeństwa stały się bogatsze i zdrowsze. Jak zauważa Bill Gates, paliwa kopalne umożliwiły nam stworzenie niezwykłych technologii i materiałów. Dziś wiemy jednak, że ich wykorzystywanie ogrzewa planetę. To realny problem, któremu nie można zaprzeczać. Wenus ilustruje znaczenie składu atmosfery. Ta planeta znajduje się dalej od Słońca niż Merkury, a mimo to jest od niego gorętsza, bo jej atmosfera składa się w ok. 96 proc. z dwutlenku węgla. Nie chcemy być jak Wenus... A jednak coraz lepiej radzimy sobie ze skutkami zmian klimatycznych, czego wyrazem jest to, że w większości kategorii eks-

tremalne zjawiska pogodowe nie stają się ani silniejsze, ani częstsze. Tak mówi IPCC, czyli Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu.

W ubiegłym roku uczestniczył pan w szczycie klimatycznym COP30 w Brazylii, zgadza się?
Tak. Podczas szczytu pytałem uczestników: „Czy uważa pan, że ekstremalne zjawiska pogodowe stają się silniejsze?”. Wszyscy odpowiadali: „Tak”. Wtedy pokazywałem im tabelę z najnowszego raportu IPCC, która tej opinii przeczyła.

Jak reagowali?
Mówili: „Nie mogę się na ten temat wypowiadać. Nie wiem. Nie jestem specjalistą”. Nie dowierzali. Nie chcieli przyjąć tych danych do wiadomości.

Nie prosili o źródło?
Niektórzy pytali: „Czy jest pan pewien, że to IPCC?”. Wtedy odpowiadałem: „Tak. To 138. strona raportu”.

Dwa lata temu uczestniczyłem w COP29 w Baku, w Azerbejdżanie. Było to osobliwe miejsce na takie wydarzenie. Jeden z największych pawilonów należał do Rosji, a duże pawilony miały również państwa naftowe, takie jak Arabia Saudyjska. Czy w Brazylii było podobnie?
Tak. Na COP30 czuć było zapach oleju napędowego. Szczyt odbywał się w ogromnej tymczasowej hali, do której nie doprowadzono linii energetycznych. W rezultacie całość była zasilana przez generatory spalinowe.



Czyli COP30 było zasilane olejem napędowym?

Tak. Teren pokrywała także plastikowa wykładzina, a cała imponująca konstrukcja była w dużej mierze wykonana z plastiku. Nawet ubrania brazylijskiej minister środowiska wyglądały na wykonane z materiałów syntetycznych. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Uważam, że musimy odejść od paliw kopalnych. To prawda. Nie sądzę jednak, że umrzemy za pięć lat, jak sugerowała Greta Thunberg.

Zwolennicy szybkiej transformacji odpowiedzieli: „Spójrzmy na odnawialne źródła energii. Rozwijają się bardzo szybko, a ich udział w miksie energetycznym rośnie”. Nawet w Polsce udział OZE jest dziś znacznie większy niż 10 lat temu. Być może paliwa kopalne rzeczywiście odchodzą do przeszłości.

Jeżeli tak jest, to dobra wiadomość. W ostatnich dekadach przedsiębiorcy dostarczyli potężnych innowacji i powinniśmy się z tego cieszyć. To, co wydarzyło się w energetyce słonecznej, jest niezwykle. Cena wytwarzanej w ten sposób energii spadła o ok. 99 proc. Musimy jedynie uważać, aby rządy nie marnowały pieniędzy na chybione polityki energetyczne. Przykładem są Niemcy, które wydały miliardy euro na projekty gazowe, a gdyby więcej za-inwestowały w energetykę jądrową, byłyby dzisiaj bezpieczne energetycznie. „The Wall Street Journal” określił ich politykę jako najgłupszą politykę energetyczną na świecie.

Czego zatem Polska powinna się nauczyć na błędach Niemiec? Zamiast wydawać 0,5 bln euro na projekty, które nie zapewniają bezpieczeństwa energetycznego, Polska powinna zdecydowanie inwestować w energetykę jądrową i wykorzystywać na ten cel środki pochodzące z unijnego systemu ETS. Nie chodzi jednak wyłącznie o inwestycje publiczne. Rząd powinien również ułatwić prywatnym przedsiębiorcom wejście do sektora jądrowego, usuwając problematyczne regulacje. Energetyka jądrowa musi być odpowiednio bezpieczna, lecz wymogi bezpieczeństwa nie powinny być tak restrykcyjne, by uniemożliwiać realizację inwestycji. Możliwe jest też przekształcanie istniejących elektrowni węglowych w obiekty wykorzystujące energię jądrową. Pozwalałoby to zachować miejsca pracy i podtrzymać życie gospodarcze miejscowości, które rozwinęły się wokół elektrowni. Jednocześnie uważam, że energetyka wiatrowa i słoneczna mają swoje miejsce i swoją rolę. Powinniśmy szukać tanich i efektywnych sposobów inwestowania w nie.

Osoby zaangażowane w politykę klimatyczną chcą, aby przebiegała ona coraz szybciej. Jak ocenia pan realizowane obecnie działania dekarbonizacyjne? Ekologizm mierzy się z poważnym problemem: coraz więcej ludzi postrzega go jako ruch autorytar-

ny, który próbuje narzucać rozwiązania dostępne dla bogatych, lecz nieosiągalne dla biednych. Na przykład w brazylijskiej Amazonii obserwujemy niepokojące represje wymierzone w ludzi ubogich. Odwiedzałem terytoria rdzennej ludności i rozmawiałem z ich mieszkańcami. Wielu z nich nie znosi ekologów, bo działania tychże uniemożliwiają im podżwignięcie się z biedy. Proszę sobie wyobrazić, że farmerom zabrania się często posiadania bydła ze względów środowiskowych... Rozmawiałem z rdzenną mieszkanką Amazonii, która powiedziała mi: „Od 16 lat walczę o prawo do elektryczności albo o choćby jedną drogę, dzięki której moglibyśmy dotrzeć do szpitala w czasie krótszym niż dwie godziny”. Tymczasem brazylijscy intelektualiści i zieloni aktywiści twierdzą, że nie można na to pozwolić.

Co ci intelektualiści proponują ubogim społecznościom? Absurdy. Na przykład niektóre brazylijskie społeczności rdzenne żyją w pobliżu złóż diamentów. Wielu brazylijskich intelektualistów chciałoby jednak, aby zamiast z wydobycia utrzymywali się ze zbierania owoców czy orzechów brazylijskich. Taka działalność nie przynosi dużych zysków. Niektórzy mogą na niej zarabiać, ale nie zapewni ona dobrobytu 30 mln osób. Tymczasem górnictwo w tej kwestii może być całkiem dobrym rozwiązaniem problemów materialnych tych ludzi. W stanie Pará, którego stolicą jest Belém, aż do ok. 30 proc. PKB może pochodzić z górnictwa, podczas gdy kopalnie zajmują mniej niż 0,5 proc. powierzchni stanu. Zieloni aktywiści bardzo się szoszczą, kiedy przedstawiam górnictwo jako rozwiązanie. Wynika to z romantycznego przekonania, iż wszelkie formy rozwoju i postępu są z natury szkodliwe dla środowiska. Oraz z podziałów klasowych. Proszę sobie wyobrazić, że w jednym państwie umieszczamy Szwajcarię i Kongo. Brazylia jest takim krajem. Ma niezwykle bogate regiony i bardzo zamożnych ludzi, ale także społeczności rdzenne i odizolowane, w tym takie, które niemal nie miały kontaktu z cywilizacją. Ubodzy Brazylijczycy potrzebują dobrych dróg, niskich kosztów transportu i prawa do niewielkiego kawałka ziemi, by móc założyć gospodarstwo. Zamożni mieszkańcy najbogatszych dzielnic São Paulo i Rio de Janeiro chętnie przyjmują abstrakcyjne idee zrównoważonego rozwoju. To ukryty konflikt wartości.

Czy ten sam mechanizm działa w skali globalnej? Tak. Wśród aktywistów modne jest hasło: „Musimy słuchać globalnego Południa”. Ale gdy globalne Południe zaproszono na COP30, a jego przedstawiciele zabrali głos, wielu aktywistom nie spodobało się to, co usłyszeli. Bo okazało się, że globalne Południe patrzy na kwestie środowiskowe z innej perspektywy. I tak np. podczas COP30 rząd Brazylii próbował promować ostrzejsze zasady przeciwdziałania wylesianiu lasów tropikalnych nie tylko w Brazylii, lecz także w Afryce i Azji. Państwa afrykańskie odpowiedziały: „Nie chcemy

tego. Najpierw musimy osiągnąć dobrobyt. Najpierw musimy rozwinąć nasze gospodarki”.

Część polityków i intelektualistów przyznaje, że koszty tej polityki nieproporcjonalnie obciążają biedniejsze społeczeństwa. Proponują redystrybucję. Czy mogłaby ona złagodzić skutki polityki klimatycznej i umożliwić biedniejszemu społeczeństwu przejście na czystą energię?

Nie. Pamiętamy, że dla Afryki redystrybucja była raczej przekleństwem, gdyż korzystały na niej przede wszystkim skorumpowane rządy. Już dzisiaj znaczna część tych środków trafia na cele, które mają niewiele albo zgoła nic wspólnego z polityką klimatyczną. Uboższe kraje potrzebują dobrych instytucji i wiarygodnych rządów. Zamiast rozdawać pieniądze, powinniśmy bezpośrednio inwestować w użyteczną infrastrukturę energetyczną, np. w zielone elektrownie w Afryce. Już teraz widzimy duże inwestycje w energetykę słoneczną na Saharze. To produktywnie wykorzystanie zasobów.

Broni pan paliw kopalnych. Nie przedstawia ich pan jako dobra absolutnego, lecz twierdzi, że powinniśmy doceniać to, co ludzkość osiągnęła dzięki nim. Jednocześnie paliwa kopalne mają oczywiste wady – np. zanieczyszczenie powietrza zabija co roku tysiące ludzi na całym świecie. Ekolodzy mają tu chyba rację, prawda?

Mają rację, że musimy odejść od paliw kopalnych. Musimy więc bardzo ostrożnie przeprowadzać transformację. Będzie ona kosztowna i trudna. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie pieniędzy na pozorne rozwiązania.

Rządy próbują obecnie przekształcić politykę klimatyczną w politykę przemysłową. Taka idea dominuje dziś w UE. Czy jednak rząd może przestawić gospodarkę z paliw kopalnych na zieloną energię w sposób, który przyspieszy wzrost gospodarczy albo przynajmniej pozwoli go utrzymać?

Nie sądzę, by rząd mógł pokierować tym procesem odgórnie. Może się to udać tylko, gdy istnieje zapotrzebowanie społeczne. Ekolodzy jednak zwykle nie lubią koncepcji niewidzialnej ręki rynku. Uważają, że mogą wyznaczyć kierunek światu. To błąd. Potrzebujemy presji ze strony konsumentów i obywateli oraz cen uwzględniających istotne koszty klimatyczne. Produkt kupowany we Francji może mieć np. stosunkowo niski ślad węglowy, bo tamtejsza energetyka opiera się na atomie. Firma znajdująca się pod presją interesariuszy, chcących ograniczać emisje, a więc i koszty, może zechcieć kupować energię od dostawców z Francji, co daje temu państwu przewagę gospodarczą. Być może właśnie w taki sposób należy uwzględnić emisje dwutlenku węgla w rachunku ekonomicznym.

Ekolodzy bywają skrajnie idealistyczni i przekonani o własnej

moralnej wyższości. W debatach zachowują się tak, jakby nauka przemawiała wyłącznie w ich imieniu. Skąd bierze się to połączenie idealizmu i pewności siebie?

Nie znoszę moralizatorskiej postawy, którą często przyjmuje się w tej debacie. Globalne ocieplenie i inne problemy środowiskowe nie są kwestiami moralnymi. Są problemami przemysłowymi i technologicznymi. Musimy znaleźć praktyczne sposoby przejścia na inne źródła energii. W tej debacie występują dwa ogólne podejścia. Jedno reprezentuje Greta Thunberg i jest ono skrajnie moralistyczne. Drugie – pragmatyczne – Bill Gates. Przekonuje on, że musimy znaleźć tanie sposoby przeprowadzenia transformacji, gdyż nawet ośmioprocentowy wzrost kosztów może być dla przedsiębiorstwa zbyt duży. Nie możemy po prostu zakładać, że firmy udźwigną każdy koszt. Potrzebujemy jeszcze tańszych rozwiązań.

Ponawiam pytanie: dlaczego jednak ekolodzy są tak pewni, że mają rację?

Częściowo wynika to z błędu nieuzasadnionej ekstrapolacji. Wielu zielonych aktywistów mówi, że 95 proc. naukowców zgadza się co do tego, iż globalne ocieplenie zachodzi. I to podstawowe twierdzenie jest prawdziwe. Ale czy 95 proc. naukowców twierdzi również, że huragany stają się coraz silniejsze? Nie. Zieloni aktywiści próbują rozciągnąć konsens w jednej kwestii na całość zagadnień klimatycznych. W książce opisuję ludzi, których nazywam „handlarzami końca świata”. Istnieje ekosystem, w którym uczestnicy odnoszą korzyści z wzajemnego potwierdzania swojego alarmizmu.

Na czym to polega?

Aktywista pracujący dla organizacji pozarządowej może zdobyć więcej środków, jeżeli przestraszy ludzi. Młody naukowiec może zyskać większy rozgłos, więcej wzmianek w mediach i więcej uwagi, jeśli opublikuje bardziej alarmistyczny artykuł.

Ekolodzy mają kontrargument. W latach 80. koncerny naftowe dysponowały badaniami wskazującymi, że zmiana klimatu jest realna, a mimo to tłumy albo ukrywały ustalenia własnych naukowców. Ekolodzy mogliby więc zapytać: „A kto panu płaci?”. To prawda, że niektóre koncerny знаły prawdę i nie wiedziały, jak sobie z nią poradzić albo nie chciały robić tego w sposób przejrzysty. Dziś sytuacja jest inna. Nie sądzę, by współczesny przemysł naftowy wciąż na dużą skalę płacił ludziom za rozpowszechnianie fałszywych informacji o klimacie.

Wspomniał pan o lobbystycznej obecności państw produkujących ropę na COP29.

Tak, lecz istnieje również inne lobby, o którym mówi się rzadko: biurokracja klimatyczna. To cały ekosystem czerpiący korzyści z alarmizmu.

W Azerbejdżanie na COP29 było ok. 70 tys. osób. Myślałem wtedy o aktywistach klimatycznych z biedniejszych państw. Dla nich zatrudnienie przez ONZ może być niezwykłą szansą na karierę. Wyobraźmy sobie kogoś z ubogiej afrykańskiej wioski, kto dostaje posadę w ONZ. Może natychmiast stać się najbogatszym człowiekiem w okolicy. Ma więc silną motywację, aby wierzyć – albo przekonać samego siebie – że globalne ocieplenie stanowi zagrożenie egzystencjalne, ponieważ zależy od tego jego kariera. Czy to ma pan na myśli?

Między innymi. Dziś jednak ten mechanizm traci skuteczność. Być może działał na początku XXI w., ale wielu ludzi ma już dość alarmizmu.

Alarmizm klimatyczny słabnie? Tak. Jednym z sygnałów zmiany był dla mnie list opublikowany przez Gatesa krótko przed COP30. Gates przekonywał, że ludzkość nie umrze z powodu globalnego ocieplenia i że ONZ powinien znacznie uważniej koncentrować się na sposobie wydawania pieniędzy.

Zetknął się pan zatem z europejskimi plastikowymi butelkami, których nakrętki pozostają przytwierdzone do szyjki?

Oczywiście.

UE wprowadziła ten standard, aby ułatwić recykling, choć w praktyce bywa on niewygodny. Zakazano też plastikowych słomek i różnych innych produktów jednorazowego użytku. Dlaczego politycy poświęcają tyle uwagi takim szczegółom?

To moralny ekshibicjonizm. W wielu dziedzinach kultura woła zachęca ludzi do demonstrowania, że ich wrażliwość moralna jest bardziej wyrafinowana niż innych. Być może dlatego politycy poświęcają tyle wysiłku symbolicznym szczegółom. Jednocześnie rośnie odsetek poddawanych recyklingowi plastikowych butelek. W Brazylii recyklingowi poddaje się ponad 80 proc. takich butelek. To dobra wiadomość.

To rezultat polityki państwa czy oddolne zjawisko rynkowe?

I jedno, i drugie. Polityka dostarczyła regulacji, ale rynek miał bodźce do działania, bo plastikowe butelki można stosunkowo łatwo przerabiać na odzież i inne produkty. Ubrania polarowe powstają z materiałów bardzo podobnych do tych, z których produkuje się plastikowe butelki.

Czy powinniśmy poddawać recyklingowi wszystko?

Nie. Pierwotne żywyce plastikowe są tanie, przez co bardzo trudno jest wytwarzać materiały z odzysku w tej samej cenie. Nie musimy również aż tak obawiać się składowisk odpadów. Wbrew powszechnemu przekonaniu większość państw ma dużo miejsca na prawidłowo zarządzane składowiska. W Brazylii, Stanach Zjednoczonych i Europie istnieją bardzo dobre zielone parki zbudowane na dawnych wysypiskach. Jeżeli składowiska są

właściwie projektowane i zarządzane, mogą stanowić rozsądne rozwiązanie problemu. Dlatego odrzucam obsesję na punkcie poddawania wszystkiego recyklingowi za wszelką cenę.

Które z rzeczywistych problemów środowiskowych uważa pan za najpoważniejsze wyzwania dla ludzkości?

To zależy od kraju. W Brazylii jednym z głównych problemów jest zanieczyszczenie rzek. Niemal wszystkie są skażone ściekami. To poważny problem. W niektórych miastach kanały deszczowe są połączone z kanalizacją sanitarną, dlatego trzeba przebudować infrastrukturę. Za te systemy odpowiada również wiele przedsiębiorstw państwowych, które nie zawsze przestrzegają prawa. W skali świata jednym z najpoważniejszych problemów jest wspomniane przez pana zanieczyszczenie powietrza.

Jak należy go rozwiązać?

Pod pewnymi względami w ciągu ostatnich trzydziestu lat osiągnęliśmy już ogromny postęp. Na przykład emisje zanieczyszczeń z samochodów w wielu miejscach spadły o ok. 80 proc. Choć polityka rządowa odegrała pewną rolę, poprawa nie byłaby możliwa, gdyby przedsiębiorcy nie opracowali przystępnych cenowo rozwiązań technologicznych.

Biorąc pod uwagę wszystkie problemy, przed którymi stoi ludzkość, umieściłby pan problemy środowiskowe wśród trzech najważniejszych?

Problemy środowiskowe nie należą obecnie do największych problemów ludzkości, m.in. dlatego, że jesteśmy dziś znacznie bardziej „zrównoważeni” niż 20 czy 200 lat temu. W znacznie mniejszym stopniu bezpośrednio zależymy od przyrody.

Nie wierzy pan zatem, że ludzkość zniszczy Ziemię?

Nie, nie zgadzam się z tym. Pod wieloma względami jesteśmy dziś znacznie bardziej zrównoważeni i ekologiczni. Przeszliśmy proces dematerializacji. Współczesny smartfon zastępuje np. dużą część tego, do czego kiedyś potrzebne były całe biuro i liczne osobne urządzenia fizyczne. Najpoważniejszym problemem środowiskowym jest w istocie ubóstwo. Ludzie biedni są znacznie bardziej narażeni na skutki zjawisk pogodowych i zagrożeń klimatycznych. Jeżeli chcemy ograniczyć liczbę zgonów powodowanych przez klimat i ekstremalne zjawiska pogodowe, musimy zmniejszać ubóstwo. To dobrobyt zwiększa bezpieczeństwo społeczeństw wobec zagrożeń klimatycznych. ©



Leandro

Narloch

brazylijski pisarz i publicysta, autor książki „Politycznie niepoprawny przewodnik po klimacie”

Wyjmowanie głowy z piasku

Zmiany klimatyczne i bezpieczeństwo międzynarodowe to tylko pozornie dwie oddzielne sfery. W rzeczywistości łączy je coraz więcej sprzężeń zwrotnych, których nawet najpotężniejsi gracze na dłuższą metę nie są w stanie lekceważyć

Witold

Sokała

Próby wiązania problematyki ekologicznej – w tym zmian klimatycznych – z bezpieczeństwem narodowym i międzynarodowym pojawiły się w debacie publicznej już w latach 70. XX w. Pod koniec kolejnej dekady trend przybrał na sile, do czego bez wątpienia przyczynił się opublikowany w 1987 r. raport Światowej Komisji ONZ ds. Środowiska i Rozwoju zatytułowany „Nasza wspólna przyszłość”. Był efektem wieloletnich prac międzynarodowego zespołu kierowanego przez byłą premier Norwegii Gro Harlem Brundtland i wskazywał, że degradacja środowiska i wyczerpywanie się wielu zasobów nie tylko stanowi problem humanitarny i ekonomiczny, lecz także będzie skutkować niestabilnością polityczną i konfliktami w wielu miejscach świata. Kilka lat później Robert Kaplan, jeden z czołowych amerykańskich politologów, opublikował w „Atlantic Monthly” głośny esej pt. „Nadchodzi anarchia”, wieszcząc, że „środowisko to właśnie ta kwestia, wokół której będzie się obracać bezpieczeństwo narodowe w XXI wieku”, a wiele problemów pojawiających się na styku ludzkiej aktywności i procesów naturalnych (powiększanie się dziury ozonowej, przeludnienie i epidemie, zanik lasów i erozja gleby, niedobory słodkiej wody i zanieczyszczenie powietrza, a także podnoszenie się poziomu mórz), generując migracje i konflikty wewnątrzpaństwowe, stanie się rychło głównym wyzwaniem dla polityki zagranicznej i bezpieczeństwa wielu krajów. „To podporządkuje sobie większość pozostałych problemów, wzbudzając powszechne namiętności i jednocząc interesy, wciąż zróżnicowane w wyniku zimnej wojny” – pisał Kaplan.

Z dzisiejszej perspektywy ówczesne jego nadzieje wydają się na naiwne, bo większość państw (w tym główne mocarstwa) akurat skręca w drugą stronę, odkładając na półkę sprawy klimatu w imię bieżących interesów rozwoju gospodarczego oraz budowy przewag militarnych i własnych, egoistycznie traktowanych stref wpływu. Dobitnie wskazuje na to choćby styczniowy raport S&P Global, w którym czytamy: „Globalne strategie zrównoważone-

go rozwoju wchodzą w fazę głębokiej fragmentacji, a napięcie między krótkoterminowymi priorytetami, takimi jak bezpieczeństwo energetyczne, przystępność cenowa i ryzyko geopolityczne, a długoterminową koniecznością adaptacji do zmian klimatu i dekarbonizacji, staje się coraz bardziej widoczne i trudniejsze do zrównoważenia”. Podobnie wypowiadają się liczni eksperci i sekretarz generalny ONZ.

Kluczowe lekcje

W latach 90. XX w. wielu politologów rozpoczęło gruntowne badania nad związkami problemów ekologicznych z bezpieczeństwem. Ze szczególnym uwzględnieniem kwestii, jak zmiany w środowisku naturalnym mogą generować konflikty polityczne lub moderować ich przebieg. Guru „szkoły sceptycznej” stał się wówczas Thomas Homer-Dixon wykazujący w kolejnych erudycyjnych pracach, że historyczny związek problemów ekologicznych i wojen pomiędzy państwami jest pomijalnie mały, wobec czego niewielkie jest też prawdopodobieństwo wystąpienia takiej korelacji w przyszłości. Owszem, zauważył związki między zmianami w środowisku a „rozproszonymi konfliktami subpaństwowymi”, ale jako receptę wskazał doskonalenie metod zarządzania kryzysowego i zarządzania napięciami społecznymi przez instytucje państwowe.

Kolejni badacze pogłęбили i rozbudowali te tezy, przy okazji zauważając np., że wzrost poziomu przemocy trudno jest bezpośrednio powiązać z kurczeniem się dostępu do pewnych zasobów (np. ziemi uprawnej czy wody), natomiast ma on miejsce tam, gdzie pojawia się nagle nadmiar dóbr do zagospodarowania, a państwa (względnie grupy etniczne lub przestępcze) postanawiają „na skróty” zwiększyć swą potęgę i zamożność. Generalnie uznawano, że zmiany środowiskowe bezpośrednio zagrażają co najwyżej bezpieczeństwu globalnego Południa, w dodatku głównie punktowo, natomiast w fundamentalne interesy bogatej Północy mogą uderzyć jedynie pośrednio i raczej niezbyt mocno. Na lata prawo obywatelstwa w naukach o polityce i bezpieczeństwie zdobyło sobie też stanowisko Daniela Deudneya, który twierdził, że „problemy ekolo- ➤

giczne i zagrożenia stanowiące przedmiot studiów strategicznych dzieli zbyt wiele, by wrzucanie ich do jednego worka mogło przynieść jakikolwiek skutek poza zamęt pojęciowym”, a skoro „większość zagrożeń dla środowiska wymaga współpracy międzynarodowej, rozpatrywanie ich w kategoriach bezpieczeństwa narodowego jest przeciwnie skuteczne, gdyż przesuwając refleksję w sferę konkurencyjnych interesów narodowych i logiki wojskowej”. Krytykując Kaplana (i odwołując się do badań m.in. Homer-Dixona i Colina Kahla), Deudney twierdził, że „degradacja środowiska nie jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. Ekologia jest natomiast zagrożeniem dla mentalnej hegemonii państwocentrycznych dyskursów i instytucji”.

To akurat było na tyle przekonujące, że... niektóre instytucje zaczęły z czasem odchodzić od owego „państwocentrycznego dyskursu” i postrzegać problemy klimatyczne jako grę o sumie niezerowej. Równolegle szybko ewoluowało samo rozumienie pojęcia „bezpieczeństwo” – od tradycyjnych wąskich definicji skupionych na militarnych i dyplomatycznych zagrożeniach dla suwerenności państwa ku szerokim analizom sieciowym, uwzględniającym zdolność danego podmiotu lub grupy podmiotów do radzenia sobie z wachlarzem wyzwań niekoniecznie wojskowych, ale też społecznych czy technologicznych. Sprzyjał temu wybuch tzw. wojny z terroryzmem (która przypominała o roli ideologii, podmiotów pozapaństwowych, a także nieadekwatności wielu klasycznych instrumentów obrony) oraz szok wywołany przez huragan Katrina (który z kolei pokazał, że nawet supermocarstwo może ponieść ogromne straty, porównywalne z efektem wojny między państwami, wyłącznie wskutek działania czynnika naturalnego).

Wizje i realia

Jeszcze zanim żywioł zdemolował południowo-wschodnie wybrzeża USA, sensację wzbudził ekspercki raport dla Pentagonu, w którym autorzy – Peter Schwartz i Doug Randall – pokazywali, jak zmiany klimatyczne mogą uderzyć w amerykańskie interesy bezpieczeństwa. Sporo miejsca poświęcili zaburzeniu cyrkulacji termohalinowej, czyli wpływowi pozornie drobnych zmian w globalnym ekosystemie na skokowe pojawienie się drastycznych zdarzeń pogodowych. Sygnalizowali, że stopniowy wzrost ilości gazów cieplarnianych w atmosferze, wzrost temperatury powietrza i wody, a także przyspieszone topnienie lodowców (powodujące zmianę proporcji wód słodkich i słonych) mogą poważnie zmienić dynamikę prądów morskich. Przewidywane skutki? Spora i szybka zmiana średnich temperatur rocznych na wszystkich kontynentach (dla Azji, Ameryki Płn. i północnej Europy o 2,75–3,3 st. C w dół, natomiast dla Australii, Ameryki Płd. i sporej części Afryki o 2,2 st. C w górę), susza dewastująca kluczowe obszary rolnicze Europy i Ameryki, a także nasilenie groźnych wiatrów m.in. nad północnym Pacyfikiem i Europą. Autorzy wskazy-

wali, że szybka adaptacja nawet bogatych państw do takiego scenariusza nie jest możliwa, wobec czego prognozowali niedostatek żywności, gwałtowne deficyty wody pitnej oraz zakłócenia w dostępności energii praktycznie na całym świecie. A dodatkowo – nasiloną presję migracyjną z rejonów radzących sobie ze zmianami gorzej do tych względnie bezpieczniejszych i bardziej zamożnych, co rychło spowoduje eksplozję przemocy o różnym charakterze, państwowym i pozapaństwowym, a także szybką przebudowę globalnego układu sił politycznych i sojuszy regionalnych.

Teoretycznie, podążając tropem zawartym w wizji Kaplana, można było oczekiwać, że tak alarmistyczny dokument wywoła presję na międzynarodową kooperację w celu powstrzymania tempa negatywnych zmian albo przynajmniej pilnego łagodzenia ich skutków dla środowiska bezpieczeństwa. To się stało, lecz głównie w warstwie deklaratywnej. Kolejne szczyty klima-

tyczne z udziałem polityków i celebrytów, akty strzeliste i traktaty, tony zapisanego papieru i hektolitry wypitego przy okazji szampana w praktyce zmieniły bardzo niewiele. Deudney miał rację, „logika wojny” jest inna niż „logika wspólnego rozwiązywania problemów”, a polityka jest mimo wszystko nadal zdominowana przez tę pierwszą. W dodatku, w obliczu kryzysów i zagrożeń, większość ludzi instynktownie skłania się raczej ku walce i egoizmowi niż ku handlowi, kooperacji i refleksjom o charakterze uniwersalnym, co słusznie zauważył Simon Dalby, komentując raport Schwartza i Randalla. W części dotyczącej rekomendacji i ich potencjalnych skutków praktycznych wskazywał on bowiem głównie na amerykańskie „przewagi konkurencyjne” względem innych graczy, sprzyjał więc myśleniu w kategoriach „twierdzy”, unilateralnie zwiększającej swą własną odporność na kataklizmy. Kolejne dekady przyniosły nam powszechne

powielanie tego podejścia przez wszystkich głównych graczy globalnych, czasami tylko lekko przykrywane narracjami propagandowymi.

To, co obserwujemy ostatnio, nie jest więc bynajmniej nową jakością, lecz raczej rezygnacją z taktycznej hipokryzji.

Rzeczywistość skrzeczy

Ten karnawał strategicznych egoizmów ma jednak naturalne ograniczenia. Chowanie głowy w piasek tego nie zmienia, podobnie jak fala popularności narracji – tylko na pozór realistycznych – wskazujących na prymat bieżących interesów wzrostu nad długofalowymi zagrożeniami. One są oczywiście kuszące, bo politycy są przez swoje zaplecze rozliczani głównie z tego, co uzyskają





FOT. ANDY SOLOMAN/UNIVERSAL IMAGES GROUP/FORUM

dziś i ewentualnie jutro, a nie za efekty odsunięte w czasie o lata i dekady. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy skutki lekceważenia zmian klimatycznych i ich wpływu na bezpieczeństwo uderzają właśnie teraz, a w dodatku nie da się ich zakłamać. A z taką sytuacją mamy do czynienia coraz wyraźniej, choć jeszcze nie wszyscy uświadamiają to sobie z wystarczającą ostrością.

Przy tym nie wszystkie namacalne skutki szybkich zmian klimatycznych są jednoznacznie negatywne. Niektóre – z punktu widzenia poszczególnych graczy – wręcz przeciwnie. Na przykład topnienie lodów Arktyki oznacza otwarcie atrakcyjnego szlaku morskiego skracającego drogę między kluczowymi portami świata, w niektórych przypadkach nawet o połowę – a to wymierne zyski finansowe, a do tego perspektywa zwiększenia bezpieczeństwa wymiany, bo na północnym Oceanie Lodowatym toczy

się (przynajmniej na razie) zdecydowanie mniej wojen niż np. w rejonie Zatoki Perskiej i Kanału Sueskiego, nie grasują tam terroryści ani piraci. Obydwa obszary polarne w związku ze zmniejszaniem się lodowej pokrywy kuszą też dostępem do gigantycznych złóż surowców. Dla jednych to fatalna wiadomość (szczególnie dla tych, którzy na razie mieli na poszczególnych rynkach pozycję uprzywilejowanych dostawców), lecz dla wszystkich pozostałych oznacza perspektywę zysków lub oszczędności. Jednocześnie jednak stopniowe rozmiękanie wiecznej zmarzliny to kłopoty techniczne dla już istniejących instalacji. Szczególnie groźny jest ten proces dla Rosji, bo na swym północnym wybrzeżu ma ona umieszczone kluczowe zakłady wydobywania i częściowo przetworstwa ropy i gazu, a także niektórych rud metali. Ani pieniędzmi, ani technologiami niezbędnymi do bieżących remontów Moskwa nie będzie zaś dys-

ponować, dopóki toczy wojnę i jest obłożona sankcjami. Po ich zakończeniu zresztą też.

Rosnący dostęp wielu aktorów do niegościnnnych obszarów polarnych to nie tylko nowe rozdanie w globalnej grze o zasoby i łańcuchy dostaw – to także istotna zmiana reguł gry. Pod względem czysto militarnym: rozwój technologii i taktyk pozwalających operować w tych specyficznych regionach, od wojskowych lodołamaczy (wodowanych dziś w pośpiechu przez wiele państw) przez odpowiednie bezzałogowce aż po renesans lekkich jednostek mobilnej piechoty przeznaczonych do fizycznej kontroli białych pustkowi lub dywersji na ich terenie. Pod względem prawnomiędzynarodowym: zbliżająca się konieczność rewizji wielu traktatów dotyczących np. podziału stref wpływów w Arktyce czy zakazu militaryzacji Antarktyki. Nie miejmy złudzeń, realia wymuszają to już niebawem. Podobnie jak zupełnie nowe konfiguracje sojuszy bazujące na klasycznych czynnikach geopolitycznych, czego sygnałem jest amerykańsko-duński spór o Grenlandię, a możliwym ciągiem dalszym skokowy wzrost strategicznego znaczenia Argentyny dla USA. I rosnące zainteresowanie Chin Syberią, RPA, a także Australią, bo dobrze mieć wysunięte bazy blisko nowych zdobyczy.

Ucierpią mali i duzi

Na zmianach klimatycznych korzystają najbardziej ci, którzy potrafią oferować na rynku elastyczne rozwiązania. Na przykład: zamiast coraz bardziej trefnych „paliw piekielnych” (czyli, zgodnie z terminologią zaproponowaną niegdyś przez Thomasa L. Friedmana, tych wydobywanych spod ziemi, jak ropa, węgiel czy gaz, zatruwających atmosferę i na dodatek wyczerpywalnych) są zdolni, by wdrażać i sprzedawać sposoby funkcjonowania oparte na „paliwach niebiańskich” (energii słońca, wody i wiatru, ewentualnie atomu). Przy okazji w sposób oczywisty dawne paliwa kopalne, będące dla wielu państw źródłem dobrobytu i potęgi politycznej przez długie dekady, ustępują w tej roli miejsca np. pierwiastkom ziem rzadkich. To pierwszy czynnik sprzyjający geopolitycznej rekonfiguracji. Drugim będzie zaś niewątpliwie wzrost atrakcyjności tych państw i miast, które ze wspomnianym na początku „zarządzaniem skutkami zmian” radzą sobie stosunkowo najlepiej – a więc mimo szalejących gdzie indziej kataklizmów zapewniają mieszkańcom i producentom przynajmniej wodę i prąd w nieograniczonych ilościach, nawet – paradoksalnie – kosztem idei zrównoważonego rozwoju i lokalnych wymogów środowiskowych. Najlepiej widać to w dylematach dotyczących pracy elektrowni jądrowych mimo narażania lokalnych ekosystemów wodnych w warunkach obecnych upałów. Tak wykuwa się nowa mapa globalnych liderów konkurencyjności.

Lwia część identyfikowalnych skutków zmian klimatycznych ma jednak charakter jednoznacznie negatywny – zarówno z punktu widzenia

poszczególnych graczy, dotkniętych nimi bezpośrednio, jak i stabilności całego systemu międzynarodowego. Podnoszenie poziomu wód oceanicznych to nie tylko problem dla państw i miast położonych zbyt nisko, lecz także dla tych znajdujących się na pozornie bezpiecznej wyżynie, bo przekroczenie punktu krytycznego zagrazi im falami niekontrolowanych migracji, a także załamaniem łańcuchów dostaw. Podobnie ma się rzecz z wielkimi klęskami żywiołowymi w rodzaju gwałtownych huraganów o wielkiej skali albo potężnych susz.

Alice C. Hill z Council on Foreign Relations oraz Mengye Zhu z Uniwersytetu Stanforda opublikowały w najnowszym numerze „Foreign Affairs” analizę zatytułowaną „Ekstremalne zjawiska pogodowe wywrócić do góry nogami rywalizację między USA a Chinami. Koszty opóźnień w adaptacji do zmian klimatycznych”. Wskazują w niej, że to właśnie obydwa supermocarstwa są szczególnie narażone. Z prostego powodu: to one mają najwięcej do stracenia, bo grają o najwyższe stawki, czyli globalną dominację. Tymczasem – piszą autorki – ekstremalne zjawiska pogodowe zagrażają fizycznym fundamentom chińskiej i amerykańskiej potęgi gospodarczej i technologicznej, w tym np. łańcuchom dostaw, instalacjom przemysłowym, a nawet zdolnościom militarnym. Wśród 100 regionów świata, w których zmiany klimatyczne mogą pośrednio lub bezpośrednio powodować najpoważniejsze uszkodzenia infrastruktury oraz deficyty kluczowych zasobów, znajduje się obecnie 18 amerykańskich stanów i aż 29 chińskich prowincji. Bynajmniej nie trzeciorzędnych, ale akurat tych, w których znajdują się zakłady pracy istotne z punktu widzenia rywalizacji technologicznej. Także bazy wojskowe, zwłaszcza morskie, czyli te szczególnie ważne dla newralgicznego regionu indopacyficznego. Kolejne 11 takich zagrożonych regionów to terytoria nienależące do USA, ale goszczące amerykańskie instalacje militarne. W obliczu takich danych w łeb biorą dawne marzenia o budowie „twierdz” odpornych na skutki globalnej zmiany klimatycznej – podobnie jak koncept dalszego bezkarnego przyczyniania się do niej przez rabunkową gospodarkę zasobami i zwiększanie emisji.

Pytanie o konieczność racjonalnego uwzględnienia czynników środowiskowych w kalkulacjach geopolitycznych i dotyczących bezpieczeństwa nie zaczyna się więc od „czy”, tylko od „jak”. A może w ogóle powinno brzmieć: „Czy aby nie jest za późno?”.

©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

Kraj

To nie jest zwykłe „daj”

Możemy załamać ręce albo zmieniać rzeczywistość. Wolę tę drugą opcję i dlatego zaproponowałem ścieżkę stopniowego zbliżania polskich wydatków na naukę do średniej unijnej

Z Marcinem

Kulaskiem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Ile razy usłyszał pan od ministra finansów: „Sorry, Marcin, nie ma więcej pieniędzy na naukę”? Nasze rozmowy nie zawsze są prowadzone w takim schemacie. (śmiech) Wbrew pozorom mamy z ministrem Andrzejem Domańskim naprawdę dobry, regularny kontakt. Każdemu, kto powie, że jako państwo wydajemy zbyt mało na naukę i szkolnictwo wyższe, odpowiem: tak, masz rację. To są fakty i twarde dane, trudno z nimi polemizować. Każdy zapewne rozumie, że jeśli Polska chce długofalowo utrzymać pozycję w gronie 20 największych gospodarek świata, musi finansować naukę na odpowiednim poziomie.

Wydajemy śmiesznie mało pieniądze. Cięcia dotyczą wszystkich. Jednak budżet na naukę wynosi dziś 102 proc. tego, co rok temu. Wiem, co chce pan powiedzieć, że to nadal za mało. Uważam jednak, że uczciwa ocena sytuacji wymaga dostrzeżenia nie tylko tego, ile jeszcze brakuje, lecz także kierunku, w którym zmiany postępują.

Mam wrażenie, że w najlepszym razie utrzymujemy

stan rzeczy. Porównuję sobie wydatki na naukę w Polsce i innych krajach UE: przepaść. Wyglądamy jak ubodzy krewni. Pięć państw Unii Europejskiej przekroczyło 3 proc. PKB w wydatkach na badania i rozwój. W tym zawierają się nie tylko państwowe fundusze, lecz także prywatne środki i inwestycje. Średnia unijna to 2,2 proc. To pokazuje, jak duży wysiłek jest przed nami, jeśli chcemy dołączyć do grona liderów innowacyjności i konkurencyjności gospodarczej. Przywołanie przykładów innych państw to też najlepszy dowód, że rozwój nauki i innowacji nie jest wyłącznie zadaniem państwa. Biznes również ma tu do odegrania swoją rolę.

A my? Wydajemy na B+R ok. 1,5 proc. PKB, z czego 1,08 proc. przypada na państwo; pozostała część to wkład firm prywatnych. Dlatego dyskusja o zwiększaniu nakładów na naukę nie jest kwestią politycznych preferencji. Trzeba powiedzieć wprost: odpowiednio wysokie nakłady na B+R są warunkiem naszego długofalowego rozwoju.

Jesteśmy daleko od średniej. Możemy się rozjechać. Możemy załamać ręce albo sukcesywnie zmieniać rzeczywistość. Wolę tę drugą opcję i dlatego zaproponowałem ścieżkę stopniowego

zbliżania się Polski do średniej UE – 2,2 proc. To zakładałoby przyrost o 3,6 mld zł w kolejnych latach. Mam wrażenie, że po proteście środowiska naukowego pod koniec maja coraz więcej osób dostrzega, że bezpieczeństwo państwa nie opiera się wyłącznie na wydatkach obronnych. Mam tu swój udział, bo od dawna przy każdej okazji powtarzam, że bezpieczeństwo to także inwestycje w naukę, technologie i innowacje. Nie możemy dłużej traktować finansowania nauki jako kosztu.

Mówi pan jak polityk opozycji. Ma pan rower, proszę pedałować. Nieustannie to robię. W ostatnim budżecie udało się pozyskać dodatkowe pół miliarda złotych na naukę, co pokazuje, że skutecznie walczymy o te środki jako ministerstwo. Jednocześnie funkcjonujemy w warunkach nadzwyczajnych. Wojna za naszą wschodnią granicą wymusza na nas zapobiegliwość – wydajemy nadzwyczaj dużo na obronność. Rozumiem to i w rozmowach z ministrem finansów ten temat nieustannie się przewija. Wszyscy rozumiemy powagę sytuacji. Jednak jeśli chcemy utrzymać tempo rozwoju gospodarczego i budować przewagi konkurencyjne, musimy szukać złotego środka. Minister Domański na szczęście też jest zdeterminowany, żeby go znaleźć.

Ale problem pozostaje nierozwiązany. Zejdźmy zatem poziom niżej. Starania o pieniądze na naukę, badania i rozwój to nie tylko nieustanne rozmowy z ministrem finansów. Rozmawiam też z innymi ministrami i z zarządami spółek Skarbu Państwa o tym, jak zwiększać ich zaangażowanie. Na rozmowach się nie kończy, bo tylko w ostatnich miesiącach spółki zaangażowały się w programy szkolenia przyszłych specjalistów od atomu i szerzej w rozwój całego sektora razem z jednostkami pomocniczymi MNiSW. To konkrety, a nie tylko słowa.

Namawia ich pan na finansowe wsparcie badań i rozwoju? Jak wyżej – mówię o systemowych rozwiązaniach, możliwościach współpracy, która nie będzie incydentalna. Pieniądze z dywidendy u naszych czempionów mogłyby być częściej inwestowane właśnie w sektor B+R. Ciągłe pracuję nad tym, żeby nie patrzono na postulaty inwestowania w naukę jak na kolejne żądanie pieniędzy, jak na zwykłe „daj”. To przecież inwestycja w przyszły wzrost gospodarczy.

Chodzi o zasianie ziarna, które da plony za 10 czy 15 lat. Nie wiadomo, czy u władzy będzie wtedy obóz lewicowy, prawicowy czy koalicyjny. To zresztą nieważne.

Szef Sieci Badawczej Łukasiewicz wyliczył, że wzrost nakładów na B+R do 3 proc. mógłby dodać 17 pkt proc. do PKB. Dokładnie. Zresztą mamy już w Polsce przykłady instytucji działających w takim modelu. Sieć Badawcza Łukasiewicz, obejmująca 22 instytuty rozsiane po całym kraju, otrzymuje jedynie część finansowania ze środków publicznych. Pozostałe pieniądze musi pozyskiwać ze współpracy z biznesem, komercjalizacji wyników badań oraz realizacji projektów odpowiadających na potrzeby gospodarki i przemysłu. To pokazuje, że nauka może skutecznie łączyć misję badawczą z wpływem na rozwój gospodarczy. To nie są jakieś mrzonki.

Gdzie jeszcze szuka pan tych pieniędzy? Największy budżet ma Ministerstwo Obrony Narodowej, mówimy o 200 mld zł. Mamy zapis o finansowaniu sektora B+R 1 proc. budżetu MON. Od dawna rozmawiamy o tym z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem. Wspólnymi siłami otwieramy kolejne furtki, by – dla przykładu – miliardy euro z programu SAFE znalazły drogę do polskich instytutów czy laboratoriów. Nie możemy tego zrobić wprost, ale przez odpowiednie przesunięcia w budżecie na obronę można znaleźć kolejne sumy. Trzeba być kreatywnym i działać nieszablonowo.

Z jaką propozycją przyjdzie pan do Andrzeja Domańskiego w sprawie budżetu na 2027 r.? Prace nad projektem już ruszyły. Plan minimum minimum to zwiększenie budżetu na naukę i szkolnictwo wyższe o co najmniej 0,1 proc. PKB. To element tego, co zaproponowałem podczas protestu naukowców – chodzi o to, by w pięć lat – pod koniec kolejnej kadencji – dojść do średniej unijnej.

Może za nisko pan licytuje w tym politycznym pokerze. To plan minimum, bez tej zmiany o 0,1 proc. nie ma nawet o czym rozmawiać. Nie podpiszę się pod takim budżetem i daję panu słowo, że wyślę do wszystkich swoich kolegów z Lewicy jasny sygnał: „Houston, mamy problem”.

Walka na śmierć i życie o wzrost o 0,1 proc.

Cięcia dotyczą wszystkich. Jednak budżet na naukę wynosi dziś 102 proc. tego, co rok temu. Wiem, co chce pan powiedzieć, że to nadal za mało

WYWIAD

Nie będę przedstawiał panu nierealistycznych wizji, pokazuję możliwy do zrealizowania plan. Trzeba brać pod uwagę sytuację geopolityczną, budżetową i wieloletnie zaniedbania. Czy nie podnieśliśmy pensji nauczycielom i pracownikom uczelni o prawie 40 proc. w porównaniu z 2023 r.? Przecież to wszystko da się policzyć, zweryfikować. To konkretne sprawy. Za mało? Zawsze. Ale do przodu.

Konkretne sprawy to także ogłoszenia pracy w PAN z głódowymi wynagrodzeniami. Takie ogłoszenie niekoniecznie odzwierciedla pełne wynagrodzenie pracownika PAN, może dotyczyć tylko jednego ze składników. Pensje są zróżnicowane i zależą m.in. od stanowiska, stażu, realizowanych projektów oraz dodatkowych źródeł finansowania. Razem ze środowiskiem akademickim pracujemy nad nowelizacją ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, w której chcemy zapewnić stypendia dla większej grupy studentów oraz podwyższyć stypendia dla doktorantów. Kolejnym założeniem jest podniesienie minimalnego miesięcznego wynagrodzenia dla nauczycieli akademickich. Proponujemy również powiązać wysokość minimalnego wynagrodzenia profesora z przeciętnym wynagrodzeniem w gospodarce narodowej. Od czerwca wprowadziliśmy regulację umożliwiającą znaczące podwyżki dla pracowników pomocniczych jednostek naukowych PAN.

Z góry mogę powiedzieć, co napisze resort finansów. Wiem, że będzie trudno o utrzymanie wszystkich propozycji. Ale ten tryb waloryzacji jest konieczny. Celem jest sytuacja, w której kolejny minister nauki nie musi pielgrzymować do ministra finansów, tylko może spokojnie planować wydawanie pieniędzy zagwarantowanych przez automatyczną waloryzację powiązaną z rozwojem gospodarki. Nie ma przecież gwarancji, że kolejni ministrowie finansów i nauki będą mieli tak dobrą chemię, jak ja i minister Domański. (śmiech)

Czytałem, że przy okazji wyboru członków rady Narodowego Centrum Nauki naukowcy mocno pana krytykowali. To było kompletnie nie fair. Nie można też mówić o pełnej reprezentacji środowiska. Precyzyjniej będzie: grupa naukowców.

Brzmiało to trochę tak, jakby chciał pan ręcznie sterować tym, kto i co będzie ustalał w radzie NCN.

To absurd. Zadałem o dialog ze środowiskiem, co przełożyło się na ukończenie projektu nowelizacji ustawy o Polskiej Akademii Nauk. Mówimy o projekcie, na którym polegali wszyscy byli ministrowie nauki. Rada NCN ma kluczowy wpływ na wskazywanie priorytetów badań podstawowych zgodnych

ze strategią rozwoju kraju. Kończy się kadencja 12 z 24 osób. Poprzednie 12 wskazał minister Wierzbicki, kolejnymi 12 zajmę się ja. Osoby do rady mogą zgłaszać określone w ustawie o NCN podmioty systemu nauki i szkolnictwa wyższego z A i A+. Liczymy się z tym, że będzie ponad 100 osób. Pięcioosobowy zespół, jaki powołałem z tej setki, wskaże 24, a ja z tego grona wybiorę 12. Nie będzie jak za PiS, gdzie minister palcem wskazywał lwią część nazwisk. Ale w moim przypadku krytyka spadła, jeszcze zanim kogokolwiek wybrałem. Poczekajcie, drodzy naukowcy, na to, co postanowię. Będziecie mile zaskoczeni.

Zostawmy naukę. Musi pan pilnować Nowej Lewicy jako sekretarz generalny partii. Do jakiego scenariusza na rok 2027 przygotowuje pan struktury partyjne?

Przygotowujemy się do samodzielnego startu, choć do końca będziemy ponawiać apel i wyciągać rękę do koleżanek i kolegów z mniejszych partii, głównie z partii Razem. Mówimy: nie ma wroga na Lewicy. Jesteśmy starszą partią lewicową, bardziej doświadczoną, może nieco dojralszą doświadczeniami ostatnich dekad, i wiemy, że lewica osiąga największe sukcesy, gdy idzie jednym frontem. Zwłaszcza rok 2015 nauczył nas wszystkich pokory. Na pewno też nie wystartujemy z list Koalicji Obywatelskiej, bo to przyniosłoby szkodę całej Koalicji 15 października. My, odliczając niezdecydowanych, możemy liczyć na jakieś 10 proc. na dziś. I idziemy po więcej.

Prawie półtora roku do wyborów...

... a ta nieformalna kampania już rusza. 4 lipca ruszamy w wakacyjną trasę Lewicy – zaczniemy od Raszyna, a potem zajrzemy do kurtowych miejsc, w których wypoczywa Polska.

Kulasek z Czarzastym będą zaglądać ludziom za parawany na plaży, by rozdać ulotki.

Aż tak źle nie będzie. Tegoroczne wakacje w polityce to nie tylko nasza trasa, lecz także rozkręcona na całego kampania w Krakowie, gdzie wspieramy Dariusza Gosek-Piołkę. To będzie zresztą pierwszy poważny test, która ze strategii na lewicę w Polsce wygra: ta, w której ostro krytykuje się wszystko z pozycji komentatora, czy ta, która bierze odpowiedzialność i realizuje program na tyle, na ile to w danych realiach możliwe. ©

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Marcin

Kulasek

minister nauki i szkolnictwa wyższego, samorządowiec, polityk Nowej Lewicy



Mniej Więcej

Łukasz

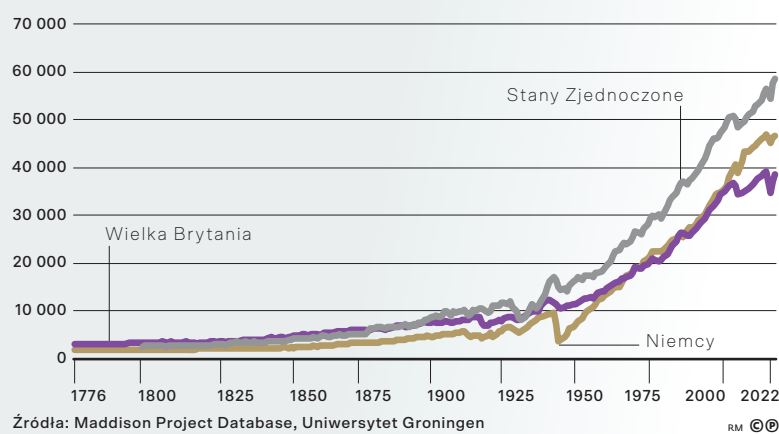
Wilkowicz

250 lat rozwoju, 150 lat liderowania

Stany Zjednoczone uchodzą za wzór zamożności i rozwoju, ale nie zawsze tak było. USA potrzebowały 100 lat, by osiągnąć poziom produktu krajowego w przeliczeniu na mieszkańca odpowiadający Wielkiej Brytanii i tym samym stać się światowym liderem. Największe zmiany przynoszą wojny. Po I wojnie światowej PKB przypadający na Amerykanina był już o jedną trzecią większy niż na Brytyjczyka. W trakcie Wielkiego Kryzysu Wyspiarze na dwa lata wyprzedzili Amerykanów. Dla Niemców najlepszy był początek poprzedniej dekady, kiedy udało im się osiągnąć 86 proc. wyniku USA. Te porównania biorą poprawkę na poziom cen w poszczególnych krajach (stąd dolar międzynarodowy w cenach z 2021 r.). ©

PKB per capita

(w „dolarach międzynarodowych” w cenach z 2021 r.)

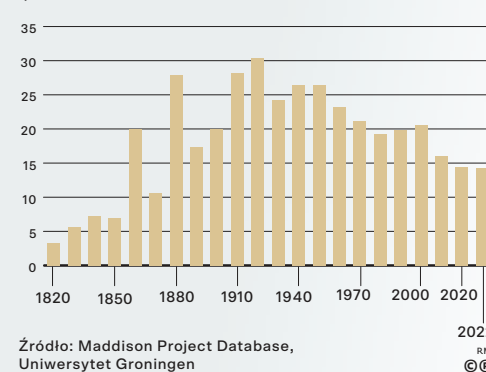


Szczyt potęgi w XX wieku

Szczyt potęgi gospodarczej Stany Zjednoczone osiągnęły tuż po II wojnie światowej. Ich udział w globalnej wartości finalnych dóbr i usług na krótko przekroczył

Udział USA w światowym PKB

na bazie „dolara międzynarodowego” w cenach z 2021 r. (proc.)



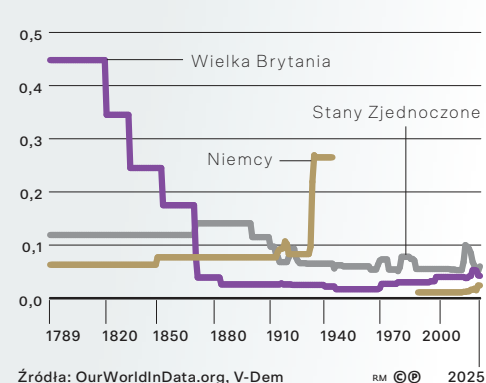
40 proc. Później zaczął się kurczyć. Jednak praktycznie przez cały XX w. udział USA w globalnym produkcie utrzymywał się na poziomie co najmniej 20 proc. Obecnie jest to już poniżej 15 proc. Drugie miejsce – za Chinami – bierze się z uwzględnienia różnicy w poziomie cen. W ujęciu nominalnym Stany Zjednoczone wciąż odpowiadają za ok. 25 proc. światowego PKB (jeszcze na początku lat 70. przekraczało 35 proc.). ©

Pomaga niska korupcja

Źródeł sukcesu gospodarczego jest wiele. Jeden z nich to stabilność instytucji (choć przez ćwierć tysiąclecia sporo wydarzyło się i tam). Zwłaszcza w pierwszych dziesięcioleciach Stany Zjednoczone wyróżniały się niskim poziomem

Indeks korupcji politycznej

skala: 0 – brak korupcji; 1 – całkowita korupcja



korupcji politycznej. Tego typu danymi dysponujemy dzięki badaniom prowadzonym przez instytut V-Dem na Uniwersytecie w Göteborgu. Amerykanie nigdy nie byli pod tym względem bezwzględni liderami, ale najwyraźniej pomogło im, że przez pierwsze niemal 100 lat niepodległości wypadali lepiej od Brytyjczyków (oczywiście także o niebo lepiej od będącej pod zaborami Polski). ©

Świat

Uczynić Amerykę piękną znów

Złoto, kolumnady i monumentalizm – to nie tylko prywatne upodobania Donalda Trumpa. To także polityczny przekaz o sile prezydenta dla Amerykanów i reszty świata

Emilia

Świętochowska

Alternatywa dla Niemiec (AfD), która buduje swoją pozycję w sondażach na podsygnięciu nacjonalistycznych nastrojów, znalazła sobie nowego wroga. Na użytek trwającej kampanii wyborczej liderzy partii w Saksonii-Anhalt wzięli na celownik Bauhaus, najbardziej wpływową szkołę architektury i designu XX w. Ich zdaniem biurowce i osiedla z żelbetu wymazały różnorodność regionalnych stylów i odebrały miastom unikalną tożsamość, by zamienić je w bezosobowe krajobrazy szpetoty. „Bauhaus oznacza wykorzenienie” – powiedział Reutersowi poseł AfD do parlamentu krajowego Hans-Thomas Tillschneider. „Bauhaus jest architekturą globalizacji – bycia nikąd” – dodał polityk. Dwa lata temu Tillschneider wystąpił w landtagu z wnioskiem o „krytyczne rozliczenie” Bauhausu przed szykowanymi obchodami stulecia szkoły, nazywając jej dorobek „gwałtem na ludzkiej potrzebie bezpieczeństwa i wygody” oraz „grzechem architektonicznym nie do zniesienia w swojej brzydocie”. Zasugerował też, że partie głównego nurtu wykorzystują modernistyczną ideologię do tępienia budownictwa jednorodzinne.

Założona przez Waltera Gropiusa uczelnia artystyczno-rzemieślnicza, słynąca z prostych, geometrycznych form, jasnych elewacji i dużych przeszkleń, początkowo działała w Weimarze. Pod presją konserwatystów, którzy wietrzyli w jej egalitarnych, eksperymentalnych koncepcjach bolszewicki spisek, przeniosła się w 1925 r. do położonego w Saksonii-Anhalt Dessau, a siedem lat później, gdy władzę w ratuszu przejęła NSDAP, została zamknięta. Dyrektorka mieszczącej się tam dzisiaj Fundacji Bauhausu Barbara Steiner powiedziała mediom, że w krytyce AfD pobrzmiewają echa retoryki nazistów.

W kontrze do modernistycznego minimalizmu skrajna prawica proponuje patriotyczną politykę urbanistyczną, która stawia na estetykę zakotwiczoną w bogactwie niemieckiej kultury i tradycji ludowych. Za wzór przestrzennej odnowy stawia metamorfozę, jakiej poddaje federalne gmachy i działki Donald Trump. Gospodarz Białego Domu chce odcisnąć trwały ślad w Waszyngtonie, nadając swojej turbopatriotycznej narracji o Ameryce architektoniczną formę. Jego sztandarowe projekty – od sali balowej przez łuk triumfalny po „narodowy ogród amerykańskich bohaterów” – mają ucieleśniać sprawczość, rozmach i majestat władzy, która śmieje się w twarz kosmopolitycznym elitom. Zdaniem krytyków to pompatyczne efekciarstwo, w którym megalomańska brawura ściga się z jarmarcznym przesystemem.

Złoty przepych

Buldożery wjechały najpierw do sąsiedztwa z Gabinetem Owalnym Ogrodu Różanego. W czerwcu 2025 r., gdy zdjęcia ciężkiego sprzętu i robotników w pomarańczowych kamizelkach rozpały media społecznościowe, z Białego Domu popłynął przekaz, że chodzi jedynie o poprawę komfortu gości. W Fox News Trump narzekał, że ogród nie nadaje się do urządzania przyjęć, bo szpilki „zapadają się na cztery cale” (ok. 10 cm) w mokrej murawie. Zapewniał, że krzewom różanym nic się nie stanie. Wystarczył jednak miesiąc, by ikoniczny dziedziniec zmienił się nie do poznania. Trawnik, na którym John F. Kennedy oddawał hołd pierwszemu amerykańskiemu astronautom, a Bill Clinton wraz z przywódcami Izraela i Jordanii ogłaszał porozumienie pokojowe,

zastąpiły blade kamienne płyty, na których wyrosły rzędy biało-żółtych parasoli ze stolikami. Całość do złudzenia przypominała patio w Mar-a-Lago, luksusowej posiadłości i ośrodku wypoczynkowym prezydenta na Florydzie.

Poprzednie administracje zaznaczały swoją obecność w Białym Domu oszczędnie, zgodnie z założeniem, że nie jest to prywatna rezydencja władcy, lecz siedziba instytucji należąca do narodu. W XXI w. upodobanie do stonowanych wnętrz skłaniało gospodarzy do redukcji muzealnego nadmiaru przy zachowaniu historycznego dziedzictwa jako estetycznej ramy. Remonty służyły unowocześnieniu wyposażenia oraz dostosowaniu pomieszczeń do pierwszej rodziny i personelu, a nie realizacji wizji luksusowego życia prezydenta. Trump radykalnie zerwał z tym podejściem, wnosząc do Białego Domu swój gust – ze skłonnością do hotelowego przepychu i dworskiej ostentacji. Dostojną elegancję Gabinetu Owalego wyparły ostentacyjnie złote detale: wazy, trofea, statuetki, listwy, urny, podkładki pod kubki... Ściany gęsto pokryto wizerunkami (wybranych) amerykańskich prezydentów, a puste przestrzenie poprzetykano frymuśnymi medalionami z 24-karatowego złota, do których dopasowano odcień zasłon. Nad kominkiem zawieszono rokokowe lustro, a framugi udekorowano błyszczącymi cherubinami. Całość aranżacji domknęła pomalowana złotą farbą płaskorzeźba na suficie.

Złośliwi komentowali, że po „odświeżeniu” Gabinet Owalny prezentuje się tak kiczowato i wulgarnie jak garderoba zawodowego wrestlera. Nie powstrzymało to Trumpa przed przerabianiem innych reprezentacyjnych przestrzeni według autorskich pomysłów. W Zachodniej Ko-

lumnadzie utworzył „prezydencką aleję sław”, galerię portretów opatrzoną krótkimi biogramami, w których zakpił ze swoich demokratycznych poprzedników (na plakietce pod zdjęciem Joeego Bidena można przeczytać, że był on „zdecydowanie najgorszym prezydentem w historii USA”, który „doprowadził nasz kraj na skraj upadku”).

Z prowadzącego do Ogrodu Różanego Saloniku Palmowego wyrzucono rośliny i zielone ławki, by zwolnić miejsce na żyrandole i marmurowe posadzki, których chłód nadał wnętrzu wygląd hotelowego lobby. W podobnym stylu urządzono łazienkę przy sypialni Lincolna, najbardziej prestiżowym apartamencie gościnnym w Białym Domu.

To dla mnie wypoczynek

Trump może powierzać negocjacje z Iranem współpracownikom, ale gdy w grę wchodzi budowlanka, odzywa się w nim dawny deweloper z instynktem mikrozarządzania: sam zamawia płytki, wybiera materiały, pogania wykonawców, wytyka błędy w wizualizacjach... „To dla mnie właściwie wypoczynek, bo zajmuję się tym od zawsze” – zapewnia. Jak nie chwali się naprawą wszystkich fontann w stolicy, to oskarża wandalów o skażenie algami stawu przed Mauzeum Lincolna, na którego remont wydał ponad 16 mln dol.

Ale żaden projekt nie pochłania go tak jak budowa sali balowej. Prace rozpoczęły się zeszłej jesieni od wyburzenia Wschodniego Skrzydła Białego Domu, które od lat służyło za biuro pierwszym damom. Zgodnie z pierwotnymi obietnicami prezydencka posiadłość miała pozostać nienaruszona, ale po analizach za-





Donald Trump na budowie sali balowej Białego Domu. Waszyngton, 19 maja 2026 r.

na fatalny stan budynku agencja szykuje się do wyprowadzki). Do kanonu brzydoty trafił też dekonstruktywizm, postmodernistyczny nurt wyróżniający się asymetrią, skomplikowanymi formami, ukośnymi osiami i ostrymi załamaniem, choć akurat jego wpływ na krajobraz stolicy pozostaje znikomy. „Budynki federalne powinny wzbogacać i upiększać przestrzeń publiczną, inspirować ludzi, podnosić prestiż Stanów Zjednoczonych i wzbudzać szacunek społeczeństwa” – dowodzi prezydent. Zgodnie z wytycznymi odstępstwa od architektury preferowanej przez władzę będą możliwe tylko wyjątkowo, jeśli projekt wpisuje się w lokalny kontekst lub ma specyficzne funkcje użytkowe.

„W gruncie rzeczy chodzi o osadzenie amerykańskiego krajobrazu w tradycjach, które afirmowały siłę i władzę – nie tyle o styl, ile o zdolność reżimu do kontrolowania możliwie największej części przestrzeni publicznej” – komentował w portalu branżowym Dezeen prof. Lawrence Vale, prodziekan wydziału architektury i planowania MIT. Zwrócił uwagę na to, że Trump dołącza do długiej listy przywódców, którzy wykorzystywali swoją pozycję, by przemodelować stolicę. Wśród przykładów wymieniał przebudowę pekińskiego placu Tian'anmen pod rządami Mao Zedonga, forswany przez Narendrę Modiego projekt modernizacji dzielnicy rządowej Central Vista w Nowym Delhi i wielką transformację Paryża za Napoleona III.

Na estetyczne porządki prezydenta USA z podziwem spogląda nie tylko AfD. Powrót do dawnych form w architekturze to dziś obsesja środowisk prawicowych w wielu krajach. W Wielkiej Brytanii powołana za rządów konserwatystów komisja doradcza Building Better, Building Beautiful opublikowała w 2023 r. raport o upiększaniu przestrzeni, w którym jako wzory do naśladowania wskazuje architekturę georgiańską i wiktoriańską.

Rozporządzenie Trumpa definiuje styl klasyczny szeroko, włączając do niego nie tylko wzorce antyczne, lecz także neoklasycyzm, styl federalny, georgiański, a nawet Art Deco. Jeszcze bardziej pojemną kategorią jest tam „tradycyjna architektura”, do której oprócz dorobku Grecji i Rzymu zaliczono gotyk, budownictwo romańskie, styl kolonialny czy Mediterranean Revival (eklektyczny styl popularny w USA w pierwszej połowie XX w., w którym elementy hiszpańskiej architektury kolonialnej i włoskich willi spletały się z wpływami mauretańskimi). Nurty te łączą nie tyle wspólna genealogia, ile repertuar skojarzeń kulturowych – monumentalne schody, marmurowe, grube mury, kopuły sugerują prestiż, majestat oraz zakorzenienie w wielowiekowym dziedzictwie.

Sala balowa nawiązuje do neoklasycznego stylu „właściwego” Białego Domu, lecz nie naśladuje jego harmonijnych proporcji i łagodnych linii. Architekci wytykają projektowi liczne

niedociągnięcia: jeden z portyków jest nieproporcjonalnie duży, gigantyczne schody prowadzą donikąd, a zewnętrzne kolumny przysłaniają widok. Na dodatek nowe skrzydło ma być większe niż łączna powierzchnia Executive Residence (centralnej, najbardziej rozpoznawalnej części Białego Domu) i Zachodniego Skrzydła, co zaburzy hierarchię budynków i architektoniczną harmonię. Nie wspominając o tym, że sala nasuwa skojarzenia z lotniskowym hangarem.

Mimo to przedsięwzięcie dostało zielone światło od władz urbanistycznych. W kwietniu obsadzona nominatami Trumpa komisja planistyczna stolicy ekspresowo zatwierdziła inicjatywę bez wdawania się w szczegóły. Zignorowała przy tym orzeczenie sądu okręgowego, który zaledwie kilka dni wcześniej nakazał administracji zawieszenie prac do czasu uzyskania zgody Kongresu. „Prezydent Stanów Zjednoczonych sprawuje pieczę nad Białym Domem z myślą o jego przyszłych mieszkańcach. To nie oznacza, że jest jego właścicielem” – napisał oburzony sędzia Richard Leon. W czerwcu prawnik administracji oświadczył przed sądem apelacyjnym, że jest już za późno na przerwanie budowy. To typowa strategia Trumpa: przyspieszać inwestycje, aby uprzedzić wymiar sprawiedliwości.

Prawie każde przedsięwzięcie w stolicy spotkało się z pozwem. Kolejny ekstrawagancki pomysł prezydenta na 250-lecie Stanów Zjednoczonych to konstrukcja łuku triumfalnego o wysokości 250 stóp (ok. 76 m), który przyćmi rozmiarami paryski l'Arc de Triomphe. O ile starsze pomniki są wykonane z marmuru lub wapienia, o tyle nowy monument ma być z betonu i obłożony granitem. Jego szczyt zwieńczy przypominająca Statuę Wolności figura z pochodnią, a boki ozdobią złożone orły. Plan przewiduje też platformę widokową, na którą będzie się można dostać schodami lub windą. Z dokumentów opublikowanych przez Departament Spraw Wewnętrznych wynika, że aby realizować projekt przed upływem kadencji, ekipy budowlane będą pracować po 20 godzin na dobę.

Jeśli łuk zostanie wzniesiony na wypatrzonej przez Trumpa działce nad Potomakiem, zasłoni widok na Mauzoleum Lincolna z pobliskiego Cmentarza Narodowego w Arlington. Dlatego grupa weteranów wojennych wystąpiła do sądu o wstrzymanie budowy, przekonując, że koncepcję powinien zatwierdzić Kongres. Uważają, że łuk „będzie zniewagą dla ich służby wojskowej i pochowanych tam żołnierzy”.

To też nie ostudziło zapędów prezydenta. Niedawno reanimował wizję „narodowego ogrodu amerykańskich bohaterów”, upamiętniającego 250 wybitnych postaci – od George'a Washingtona i Ronalda Reagana po Johnn'ego Casha i Kobe'go Bryanta. Projekt miałby obejmować naturalnej wielkości posągi, lustrzane sadzawki, amfiteatr i restauracje. W sąsiedztwie prezydent planuje stworzenie „narodowego pola golfowego”, które miałyby gościć turnieje najwyższej rangi.

„Trump jest najpoważniejszym zagrożeniem dla architektonicznej i urbanistycznej spuścizny stolicy od spalenia Kapitolu i Białego Domu przez brytyjskie wojska podczas wojny 1812 r.” – skwitował Philip Kennicott, krytyk sztuki i architektury „Washington Post”. ©

padła decyzja, że łatwiej i taniej będzie się pozbyć starej przybudówki, nawet narażając się środowiskom konserwatorskim. Rozmach przedsięwzięcia robi wrażenie: przestrzeń o powierzchni ponad 2 tys. mkw. ma pomieścić ok. 1 tys. gości. Całkowity rozmiar inwestycji jest cztery razy większy, bo obejmuje ona również nową siedzibę pierwszej damy i kino. Utrzymanie w stylu neoklasycznym bryła ugina się pod ciężarem monumentalnych form: łukowych okien, pałacowych schodów, masywnych portyków i tarasowych korytarzy okalających budynek. Wizualizacje wnętrza ukazują kremową przestrzeń z kasetonowym sufitem, złożonymi kolumnami korynckimi i okazałymi żyrandolami – rozdmuchaną kopię sali bankietowej w Mar-a-Lago.

Autorem koncepcji jest znany z uwielbienia dla klasycznych wzorców i pogardy dla modernizmu James McCrery, którego butikowa pracownia McCrery Architects specjalizuje się w katolickich katedrach. Choć Trumpowi podobały się nawiązania do pałacu w Wersalu, stwierdził, że inwestycja tej rangi zasługuje na większy rozmach. – Zaczęliśmy od dużo mniejszego budynku, ale uświadomiłem sobie, że skoro mamy ziemię, to zróbmy to porządnie – powiedział na spotkaniu z darczyńcami. Gdy w kolejnej wersji projektu pojemność sali rozrosła się z 500 do 650 osób, prezydent uznał, że to wciąż za mało i zażądał miejsca dla 1350 gości. Z powodu sporów o skalę McCrery wycofał się w grudniu z przedsięwzięcia, a zlecenie przejęła firma Shalom Baranes, która od dziesięcioleci projektuje budynki federalne.

Ambicje Trumpa sięgały coraz dalej. Wiosną ogłosił, że nowy obiekt będzie nie tylko prestiżowym dodatkiem do Białego Domu, lecz także naszpikowanym technologiami wojskowym bunkrem – w pod-

ziemiach znajdują się schrony przeciwbombowe i szpitale polowe, na dachu baza dronów, która ochroni cały Waszyngton. Wraz z rozmiarem inwestycji pęczniały koszty. Początkowo prezydent utrzymywał, że budżet zamknie się w 200 mln dol., a podatnicy nie dołożą ani centa – całość mieli sfinansować w „prezencie” dla narodu zamożni darczyńcy, m.in. big techy i spółki krypto. Rachunek za opancerzoną przybudówkę szybko się jednak podwoił, a republikanie się domagali, by zapłacić go z kasy państwowej.

Opinia publiczna nie jest zachwycona. 56 proc. ankietowanych sprzeciwia się projektowi nawet przy założeniu, że sami nie poniesliby żadnych kosztów. Przeciwnego zdania jest 28 proc. (sondaż Ipsos dla „Washington Post” i ABC News). Niedawno wyszło na jaw, że administracja już sięgnęła do kieszeni podatników: według rozliczenia wykonawcy całkowity koszt nowego skrzydła wyniesie nie 400 mln, lecz 600 mln dol., z czego połowa ma pochodzić z pieniędzy publicznych. Część faktur już zapłacono.

Tylko klasyka

W sierpniu 2025 r. prezydent podpisał rozporządzenie „Making Federal Architecture Beautiful Again”, które wymaga, by federalne urzędy i sądy budowano zgodnie z wzorcami „architektury tradycyjnej i klasycznej”. Na cenzurowanym znalazł się modernizm, zwłaszcza wywodzący się z niego brutalizm, który w latach powojennych stał się czołowym stylem gmachów państwowych. Najślynniejszym – i najbardziej znienawidzonym – przykładem tej estetyki w Waszyngtonie jest J. Edgar Hoover Building, w którym mieści się siedziba FBI (ze względu

Europa staje się słaba, gdy się boi

Musimy zwiększać presję na Rosję, aby Putin zrewidował swoje cele i przystąpił do rzeczywistych negocjacji. Na razie nie jest na tym etapie

Z Margusem

Tsahkną

rozmawia Karolina Wójcicka

Estonia przygotowuje się do wojny z Rosją? Przygotowujemy się na rosyjską eskalację już od 20 lat. I jesteśmy na nią gotowi. Widzimy też, że Rosja jest wyczerpana i osłabiona. Putin podejmuje coraz bardziej zdesperowane kroki. Sankcje działają. Ukraińskie ataki umacniają przekonanie, że Rosja przegra tę wojnę. W rosyjskich miastach narasta niezadowolenie z Putina. Z racji położenia wiemy wiele o Kremlu. Ton wypowiedzi o Putinie bardzo się zmienił. Pojawiają się informacje, że Łukaszenka zmienia swoje stanowisko. To również pewien sygnał. Oczywiście koniec wojny to zwykle moment szczególnego zagrożenia. Przyparty do muru przywódca może się stać bardzo niebezpieczny.

Co ma pan na myśli, mówiąc „niebezpieczny”? Może wykorzystać wszystkie dostępne narzędzia nacisku. Nic jednak nie wskazuje, by Rosja miała zdolność do prowadzenia wojny na pełną skalę przeciwko NATO. Ugrzęzła w Ukrainie. Szczerze mówiąc, Putin walczy o przetrwanie. W Moskwie zdarza się, że ludzie „przypadkiem” wypadają z okien razem ze swoimi rodzinami. Nigdy nie wiadomo. Jedynym przywódcą, który opuścił Kreml i przeszedł na emeryturę, był Chruszczow. Zobaczymy, jak to się potoczy. Teraz potrzebujemy strategicznej cierpliwości. Putin podsyca strach przed eskalacją. To gra, którą prowadzi od 20 lat.

Na jego celowniku są dziś przede wszystkim państwa bałtyckie. Tak przynajmniej uważa Wołodymyr Zełenski, który wiosną przekonywał, że Moskwa szykuje się do nowego ataku. Jesteśmy odporni na gry Putina, który od dawna straszy, że może coś zrobić państwu bałtyckim, Polsce, Finlandii czy innym krajom. Rze-

czywistym adresatem tej polityki jest NATO, zwłaszcza zachodnia część Sojuszu. Nie chcemy wciągać żadnego innego kraju do wojny z Rosją. Przecież jako pierwsi ponieśliśmy konsekwencje. Doskonale pamiętamy, jak wyglądało życie pod sowiecką okupacją. Wiemy też, jak wysoką cenę zapłaciliśmy za wojnę. Ale umiemy też rozmawiać z Rosją, wyznaczać czerwone linie i podkreślać naszą jedność. To konieczne, aby Putin nie powtórzył błędów z 2022 r., gdy rozpoczął wojnę na pełną skalę przeciwko Ukrainie. Był przekonany, że w ciągu tygodnia zajmie cały kraj, a zachodni świat nie zareaguje. Tak było wcześniej – nie zareagowaliśmy na wojnę w Gruzji w 2008 r. ani na rosyjską agresję przeciwko Ukrainie w latach 2014–2015. Tym razem Putin jednak popełnił błąd. Nasze przesłanie do Europejczyków jest następujące: zaufajcie nam. Musimy zachować strategiczną cierpliwość i zwiększać presję na Rosję, aby Putin zrewidował swoje cele i przystąpił do rzeczywistych negocjacji. Na razie nie jest na tym etapie.

Mówi pan, że musimy pokazać władzom na Kremlu swoją jedność. Czy działania administracji Donalda Trumpa i słabnące zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w bezpieczeństwo Europy nie wysyłają Rosjanom odwrotnego sygnału?

Przez ponad rok Trump próbował doprowadzić do porozumienia z Putinem, a ten dalej prowadzi wojnę. Na ostatnim szczycie G7 wszystko potoczyło się dobrze. Myślę, że Trump zaczyna rozumieć, że Ukraina radzi sobie lepiej, a Rosja być może przegrywa tę wojnę. Wydaje mi się, że jedność nadal się utrzymuje.

Czy ta zmiana u Trumpa jest trwała? Nie wróci za chwilę do chwaleń Putina?

Trump zaczyna dostrzegać, że Europa bierze na siebie większą odpowiedzialność i zwiększa wydatki na obronność. Nawet bez wsparcia Stanów Zjednoczonych jest w stanie wywierać presję na Rosję i podejmować samodziel-

ne decyzje. Taki był zresztą nasz cel – by Europa stała się silniejsza i bardziej niezależna, jednocześnie zachowując bliskie relacje z USA. Nie jestem osobą, która koncentruje się na tym, kto co robi. Uważam, że powinniśmy skupić się przede wszystkim na tym, co sami możemy zrobić. W pierwszej kolejności należy przyspieszyć rozszerzenie Unii Europejskiej. W tym kontekście niepokoi mnie to, że otworzyliśmy dopiero pierwszy rozdział w negocjacjach z Kijowem. W dłuższej perspektywie Ukraina powinna zostać włączona również do NATO. Musimy stworzyć wiarygodne i skuteczne gwarancje bezpieczeństwa. Jeśli chcemy raz na zawsze zlikwidować szare strefy między NATO, UE a Rosją, by osiągnąć trwały pokój, nie mamy innego wyjścia. To właśnie istnienie takich obszarów przez lata zachęcało Rosję do agresji.

Rzeczywistość może się okazać bardziej skomplikowana. Przelamanie węgierskiego weta umożliwiło rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych z Ukrainą, ale w przyszłym roku prezydentem Francji może zostać przedstawiciel skrajnej prawicy. W Niemczech w sondażach prowadzi Alternatywa dla Niemiec, a w Polsce nastroje antyukraińskie przybierają na sile. Droga Kijowa do UE i NATO może być dużo bardziej wyboista, niż sugeruje pana wizja.

Musimy wykorzystać narzędzia i wpływy, które już mamy. Skrajnie prawicowym czy skrajnie lewicowym partiom będzie wtedy znacznie trudniej grać na lękach obywateli. To zależy od nas. Jeszcze dwa lata temu Europa nie była tak zjednoczona. I nie chodziło tylko o Orbána. Nie koncentruję się na tym, co przyniosą przyszłoroczne wybory. Skupiam się na tym, co możemy zrobić teraz, czyli na podjęciu konkretnych decyzji.

Co konkretnie robi Estonia, by wesprzeć Ukrainę na ścieżce do UE?

Udało nam się odblokować kanały finansowania dla Kijowa. Wczoraj (rozmowa odbyła się 26 czerwca) wypłacono mu 3,2 mld euro z pakietu o wartości 90 mld euro. Ale możemy i powinniśmy działać szybciej. Kolejnym priorytetem jest rozszerzenie Unii o Mołdawię i państwa Bałkanów Zachodnich, które dobrze sobie radzą. To nie jest już wyłącznie kwestia ich przyszłości. Tu chodzi o nas samych. Następna sprawa to zwiększenie presji na Rosję. 21. pakiet sankcji jest dobrze przygotowany, teraz trzeba go przyjąć. To nie tylko ważny sygnał polityczny, lecz także bardzo konkretne działanie. Do tego dochodzi inna kwestia. Prawda jest taka, że nie jesteśmy gotowi na pokój. Przykro mi to mówić.

Co pan przez to rozumie? Musimy zadbać o to, aby Rosja nie zaatakowała ponownie, oraz ustalić, jakie gwarancje bezpieczeństwa możemy zaoferować Ukrainie, a jakie ona nam.



Pan ma na to pomysł? Oczywiście: członkostwo w NATO. To najskuteczniejszy system gwarancji bezpieczeństwa. Jeśli chcemy zapewnić Europie trwały pokój, Putin i Rosja muszą wiedzieć, gdzie przebiega nasza czerwona linia.

Czy przy mniejszym zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych NATO będzie równie skuteczne w odstraszaniu? USA były dotąd filarem tego systemu.

Nie tylko USA. Obecność Sojuszu w naszym regionie – z pełnym wachlarzem zdolności – jest dziś większa niż kiedykolwiek wcześniej. Po drugiej stronie granicy mamy słabą Rosję, która ugrzęzła w Ukrainie i traci dziennie setki ludzi. Jej gospodarka jest w kryzysie. Każdy Rosjanin wie, że jego miasto może być kolejnym celem Ukrainy. To ogromna zmiana. Putin pogrywa na zakorzenionych w historii lękach, ale my, Estończycy, już się go nie boimy. Przejrzelismy jego grę. Jeśli Europa się boi, staje się słaba.

W niektórych krajach Europy coraz głośniejsze rozmawia się o zaangażowaniu Starego Kontynentu w rozmowy z Rosją. To dobry pomysł?

Tylko jeśli ma to oznaczać, że wspólnie z Ukrainą, na naszych zasadach i warunkach, będziemy uzgadniać kwestie bezpieczeństwa Europy z Rosją. Teraz nie jest na to moment.

Dlaczego? Putin nie zmienił swoich celów. Wiemy, że chce wciągnąć Europę do rozmów jako mediatora – „neutralną” stronę, która nie będzie wywierać większej presji na Rosję. To jest plan Putina z ostatnich trzech miesięcy – rozpaczliwie chce rozpocząć negocjacje, a jednocześnie próbuje dzielić Europę, narzucać, kto ma



FOT. MILEE/MATERIALY PRASOWE

to za pośrednictwem naszych przedstawicieli.

Jak Estonia wzmacnia swoje zdolności obronne?

W tym roku podwoiliśmy budżet na obronę do 5,4 proc. PKB. Korzystamy z SAFE i z własnych możliwości kredytowych. Do tego przeprowadziliśmy duże cięcia w innych wydatkach. Dwa lata temu NATO przyjęło nowe regionalne plany obronne. To silny mechanizm odstraszania Rosji. I Moskwa już to odczuwa. Nasza strategia zakłada, że jeśli dojdzie do agresji przeciwko NATO, nie oddamy ani jednego metra kwadratowego terytorium Sojuszu, a działania wojenne zostaną przeniesione na terytorium Rosji. Estonia dysponuje i rozwija zdolności, które na to pozwolą. Ważne jest również to, że wszystkie państwa NATO koncentrują się na realnych możliwościach operacyjnych – to nie są tylko deklaracje, jak przed laty. Mamy wiele do zrobienia, ale jednocześnie współpraca z Ukrainą niesie za sobą ogromny potencjał. Kijów może wnieść do NATO nowe zdolności i innowacje.

W czasie konferencji na rzecz odbudowy Ukrainy w Gdańsku wiele mówiono o włączeniu Kijowa w europejską architekturę bezpieczeństwa, głównie ze względu na jego technologie zbrojeniowe. Czy Tallin współpracuje z Kijowem w tym zakresie?

Nasze firmy współpracują z Ukrainą, również na jej terenie, już od 2015 r. Podczas czerwcowej wizyty Wołodymyra Zelenskiego w Estonii podpisaliśmy porozumienie ramowe dotyczące m.in. współpracy w obszarze dronów. Podobne umowy zawarło z nim wiele innych państw europejskich. Chodzi tu nie tylko o rozwój krajowych zdolności produkcyjnych, lecz także o uruchamianie wspólnych przedsięwzięć i zaangażowanie w ukraiński przemysł obronny. Dlatego uważam, że NATO potrzebuje Ukrainy.

Jak podchodzi pan do zakupów zbrojeniowych w USA?

Oczywiście Europa musi robić więcej. W ciągu ostatnich kilku miesięcy mieliśmy opóźnienia w dostawach z USA, m.in. amunicji do wyrzutni HIMARS. Dlatego staramy się ograniczać ryzyka i dywersyfikować źródła dostaw. W tym celu szeroko współpracujemy z Koreą Południową, Turcją i innymi krajami. Estonia jest niewielkim państwem, więc nigdy nie będziemy dysponować w pełni samodzielnym, rozbudowanym przemysłem obronnym. Musimy się opierać na współpracy. ©©



Margus

Tsahkna

minister spraw zagranicznych Estonii. Były szef resortów obrony i spraw społecznych

FOT. MAT. PRASOWE

rozmawiać, na jakich warunkach, z jakim mandatem itd.

Mimo to przewodniczący Rady Europejskiej António Costa nawiązał bezpośredni kontakt z Rosjanami. Wszyscy mówili: „to zły moment”. Jeśli presja i sankcje sprawią, że Putin będzie gotów rozpocząć realne negocjacje, to Europa powinna stanąć razem z Ukrainą. Nie jesteśmy mediatorem. Tu chodzi o bezpieczeństwo całej Europy, nie tylko Ukrainy.

O przewoźnikach negocjacji z Costą rywalizują państwa E3: Niemcy, Francja i Wielka Brytania. Nie obawia się pan, że głos naszego regionu zostanie pominięty i to inni zadecydują o naszej przyszłości?

Przez 20 lat nikt nas nie słuchał, dziś mamy większe przełożenie na rzeczywistość i cieszymy się większym zaufaniem. Trzeba nas słuchać, bo wiemy, co należy robić. Kluczowa jest komunikacja. Zawsze potrzebni są liderzy i jasne ramy koordynacji. Mamy struktury Unii Europejskiej, NATO, format E3, a przede wszystkim grupę nordycko-bałtycką, która jest najsukcesywniejsza i najbardziej spójna. Potrzebujemy wspólnego rozumienia sytuacji i lepszej koordynacji działań.

Często nie ma nas jednak przy stole.

Rozmawiamy z E3, NATO, Brukselą i Kijowem. Putin chce, byśmy zajmowali się dyskusją o tym, kto ma nas reprezentować. A powinniśmy się skupić na tym, co musimy zrobić: na gwarancjach bezpieczeństwa, wywieraniu presji na Rosję i wzmacnianiu własnych zdolności obronnych. To jest dziś najważniejsze. Jeśli uda się doprowadzić do realnych negocjacji i prowadzić je z pozycji siły, to rozwiązanie się znajdzie. To, kto zasiada przy stole, nie jest najważniejsze. Tak czy inaczej będziemy przy nim obecni – jeśli nie bezpośrednio,

Czy Strat będzie obciachem?

Spór o prawa do najpopularniejszej gitary elektrycznej świata przerodził się w biblijne wręcz starcie korporacyjnego Goliata z rzeszą Dawidów

Mariusz

Janik

Myszę, że rok 2026 zapisze się w historii jako jeden z najbardziej ekscytujących oraz interesujących lat Fendera – oświadczył w styczniu nowy prezes korporacji Edward „Bud” Cole. I niespełna pół roku później można powiedzieć, że miał rację: firma stanęła w obliczu furii klientów, rozgoryczenia środowiska lutników oraz ryzyka, że z jej produktów zrezygnują – przynajmniej niektórzy – artyści.

Niszczycielska lawina przetoczyła się w zaledwie kilkadziesiąt godzin, może kilka dni, na początku maja. Wtedy do lutników i firm gitarowych popłynęły przedprocesowe wezwania wysłane przez Fender Musical Instruments Corporation (FMIC) z żądaniem zaprzestania produkcji lub wyrabiania gitar kopiujących kształt modelu Stratocaster oraz zniszczenia istniejących, niesprzedanych egzemplarzy takich gitar. O ironio, akcja wysyłania pism cease-and-desist objęła wyłącznie lutników i firmy z USA oraz Europy – łatwy cel w porównaniu z pracującymi pełną parą fabrykami produkującymi tanie podróbki choćby w Azji.

Cole, pozujący wcześniej na „jednego z nas” – zaplatający długie włosy w mocno ściśnięty kucyk, chętnie fotografujący się z gitarami, na tle ścian wzmacniaczy, przedstawiający się jako tekściarz, zapowiadający rocznicowe limitowane serie najpopularniejszych modeli gitar – nagle znalazł się na celowniku środowiska muzyków i rzemieślników. „Ten facet nie jest jednym z nas. Mógłby sprzedawać wszystko i wszędzie” – to jeden z tych subtelniejszych komentarzy podkreślających, że Cole wcześniej pracował (zgodnie z oficjalnym biogramem ze strony FMIC) dla marek LVMH, Ralph Lauren, QVC czy Pernod Ricard. „Koles urodził się po to, by być skorumpowanym gliniarzem” – docinał autor innego. Instrumentom z kolei wytykano zawyżone ceny, niedoróbki, nadużywanie statusu kultowej gitary. „To niezbyt dobre instrumenty” – kwitował jeden z lutników. „Rezygnujemy z serwisowania i napraw gitar Fendera” – dorzucał kolejny warsztat.

W połowie czerwca FMIC postanowiła wykonać krok w tył, dwa kroki w bok i krok do przodu. – Najważniejsze: Fender nikogo nie pozwywa. Tylko uważnie i z szacunkiem zwróciliśmy się do wielu firm, których gitary są ludzko podobne do ikonicznego Stratocastera – ogłosił Cole w zarejestrowanym

na wideo wystąpieniu. – Mowa w szczególności o tym modelu, gdyż nazywanie tego designu po prostu S-style czy S-shape (co jest stosowane w wielu sklepach online – red.) to próba umniejszenia i zatarcia niepomiernej wkładu, jaki Leo (Leo Fender, lutnik, współtwórca firmy – red.) i jego współpracownicy wnieśli w branżę. (...) Nie pozwolimy, by to dziedzictwo zostało wymazane – dowodził.

Cole zapewniał też, że firma ma praktyczne i zdroworozsądkowe podejście: lutnicy i firmy, które były celem akcji mają czas na opracowanie modyfikacji, długie okresy przejściowe i – jednak – możliwość sprzedania istniejących już instrumentów. – Nie prosimy nikogo o niszczenie wyprodukowanych partii gitar, to były niefortunne sformułowania – zarzekł się szef FMIC, by zaraz wetknąć konkurentom szpilę. – Chcemy współpracować ze wszystkimi, bo wierzymy, że innowacje są najmocniejsze, gdy marki tworzą własne, odróżniające się głosy, niż kiedy kopiują symbole, które zdefiniowały naszą branżę na pokolenia – kwitował. Chcąc nie chcąc, otwierając kolejne fronty tej wojenki.

Z paleniska na ołtarze

Niespełna stulecie temu gitara z trudem przebijała się przez hałas czyniony przez innych instrumentalistów. Podtykano pod nią mikrofony, dokładano mocniej rezonujące elementy korpusu, wreszcie zaczęto instalować przetworniki pozwalające podłączyć do wzmacniaczy. Ta ostatnia technologia okazała się przełomowa: na przełomie lat 40. i 50. gitarowe tony zaczęły się przebijać na pierwszy plan, a z czasem kolejne innowacje pozwalały przekształcać je w rozmaite kosmiczne dźwięki.

„Jedna z firm uczyniła znacznie więcej od innych, jeśli chodzi o technologię zmieniającą to, czego doświadczali słuchacze. Ta firma uczyniła z elektrycznej gitary powszechne akcesorium spędzania czasu wolnego, dostarczając tanie, solidne instrumenty tak amatorom, jak profesjonalistom. Ta firma jako pierwsza w branży poszła za gustami młodych ludzi, jako jedna z pierwszych malowała gitary na jasną czerwień, potem metaliczny błękit czy purpurę i jako jedna z pierwszych nadawała im seksowne nazwy, jak Stratocaster czy Jaguar” – pisze Ian S. Port w książce „The Birth of Loud: Leo Fender, Les Paul, and The Guitar Pioneering Rivalry That Shaped Rock'n'Roll” (Narodziny zgiełku: Leo >

Fender, Les Paul i rywalizacja pionierów gitary, która ukształtowała rock'n'rolla).

„Rywale długo szydzili z dzieł Fender Electric Instrument Company, ale ta spółka z południowej Kalifornii miała atut, którego nie mieli inni: projektanta-samouka, którego powściągliwość była uderzająco sprzeczna z rozpasanym charakterem użytkowników jego dzieł – opisywał Port. – Ubrany w skromny roboczy kombinezon, zwykle spędzający większość poranka przy projektowaniu i konstruowaniu w warsztacie, Clarence Leo Fender udoskonaliał tam narzędzia, mające posłużyć do zrewolucjonizowania muzyki pop, choć sam nie umiał grać na tym instrumencie. Ale ufał muzykom, których ubóstwiał i podążał za ich życzeniami” – dorzucił.

Biografowie Leo Fendera – a właściwie gitar sygnowanych jego nazwiskiem – mniej lub bardziej jednoznacznie podkreślają, że lutnik był innowatorem: używał w sumie kilkadziesiąt patentów. Ale z dokumentów jasno wynika, że twórca Stratocastera zależało przede wszystkim na detalach związanych z komfortem gry i technikach pozwalających uzyskiwać dodatkowe efekty dźwiękowe – patenty dotyczą kształtu główek instrumentów, usytuowania maszynek strojących, ruchomych mostków – za pomocą wachy pozwalających obniżać chwilowo wysokość dźwięku, przetworników, ich rodzaju, liczby, usytuowania.

Korpus gitary był drugorzędny. I dotyczy to również Stratocastera – gdy w 1952 r. Fender i jego współpracownicy zaczęli pracować nad tym designem, chodziło o to, by poprawić toporny, kanciasty kształt wcześniejszego modelu Telecaster. Zamiast jednak modyfikować istniejący model, w warsztacie zaczęto pracować nad nowym: o nieco bardziej opływowym kształcie, wyprofilowanym i wygodniejszym korpusie, podwójnym wcięciu (doublecut) po obu stronach gryfu, ułatwiającym dostęp do najwyższych progów. Stratocaster, który trafił na rynek w 1954 r., był instrumentem torującym drogę rockowej wirtuozerii, kiedy to rozmaitych rozwiązań używa się do osiągnięcia efektów dźwiękowych niedostępnych dla innych gitar, gra jest bardziej komfortowa, a i choreografia łatwiejsza.

Ot, ironia losu: kilka lat później, jeszcze zanim wybuchł rock, Leo Fender nabrał się paciorkowcowego zapalenia gardła – w 1965 r. doszedł do wniosku, że musi wszystkie siły poświęcić walce z chorobą. Firma została wykupiona przez CBS. I okazało się, że – pewnie nie do końca świadomie – korporacja zrobiła złoty interes: w 1965 r. Bob Dylan wyszedł na estradę festiwalu w Newport nie z gitarą akustyczną, jak do tej pory, ale ze Stratocasterem. Część fanów zarzuciła z wściekłości, inni byli zachwyceni nowym brzmieniem barda. W ciągu kilku kolejnych lat za konstrukcją Fendera chwytali najwięksi: George Harrison, Jeff Beck, David Gilmour. Eric Clapton i Richie Blackmore porzucili na rzecz Strata swoje Gibsony. To Straty płynęły w rękach Hendrixa i szły w drzazgi na koncertach The Who. Cóż, to była wówczas stosunkowo niedroga gitara.

A poza tym opłacało się: wybryki gwiazd rocka, których atrybutem był model Stratocaster, przełożyły się na legendę i wizerunek, jakiego częścią pragnęły być tysiące ich naśladowców. To

czarny strat Davida Gilmoura – pojawiający się w najsłynniejszych dziełach Pink Floyd – jest aktualnym rekordzistą na półce z rockowymi memorabilia: wiosną sprzedano go na aukcji za 14,5 mln dol. 2,7 mln to cena, jaką uzyskano na aukcji charytatywnej za Strata z podpisami największych artystów sceny rockowej, od Micka Jaggera i Jimmy'ego Page'a po Liama Gallaghery i Bryana Adamsa. Od 1 mln do 2 mln przyszło zapłacić nabywcom Stratów Erica Claptona, Marka Knopflera, Jimiego Hendrixa, Boba Dylana, Rory'ego Gallaghera. Co do jednego zatem trzeba się z FMIC zgodzić: Stratocaster jest ikoną – nawet jeśli nie jedyną.

Górki i dolki

Ale nie tylko o rocka tu chodzi. Jeszcze w pierwszej połowie poprzedniego stulecia używany instrument muzyczny – wyjąwszy może stradivariusy czy fortepiany z największych manufaktur – był wart tyle co nic. Rockowy boom nie za wiele tu zmienił, bo i tak klienci oraz rynek szli za modelami, których używali obecnie idole. W latach 70. w ogóle siadł, bo syntezatory i ich nowoczesne (wówczas) kosmiczne brzmienia i możliwości popchnęły masowego słuchacza w inną stronę, od disco po ambitniejszą muzykę elektroniczną. Aż nadeszły lata 80.

– Począwszy od 1984 r. w gitarowym biznesie zapanował nowy fenomen – twierdził George Gruhn, lutnik z Nashville, który przez lata obsługiwał miejscowych artystów. Przez lata celowano w dwie grupy: marzących o karierze nastolatków oraz seniorów, którzy na emeryturze chcieli pobrzdkać na werandzie. Ale w połowie dekady na rynek weszła zupełnie nowa grupa. – Baby boomerzy z kryzysem wieku średniego powrócili. Żadna generacja wcześniej tego nie robiła. Nagle zarówno instrumenty vintage, jak i wysokojakościowe nowe gitary kupowali przede wszystkim ludzie w średnim wieku. Nie znam nikogo, kto przewidywałby ten trend – dodawał Gruhn.

Branżowy wyga przypisuje ten niespodziewany obrót spraw penicylinie: to była pierwsza generacja Amerykanów, która przestała się bać chorób, bankructw i innych plag spadających na ludzi na stare lata. I postanowiła zaszaleć: produkowanie gitar stało się biznesem liczącym w miliardach. Nie wspominając o takich wynalazkach, jak płyty CD czy pojawienie się stacji MTV, które do dźwięków zaczęły dodawać obraz, co instrumentom jak najbardziej się przysłużyło.

W tym czasie Leo Fender był zupełnie gdzie indziej. W 1969 r. kolejny lekarz potraktował jego gardło piorunującą mieszkanką antybiotyków, która definitywnie odegnęła chorobę. Lutnik miał 60 lat, miliony na koncie, rozległą posiadłość w Fullerton i sporo wolnego czasu, który wciąż chciał spożytkować. „Wciąż miał kontrakt na opracowywanie instrumentów dla CBS, ale firma nie wyrażała żadnego zainteresowania pomysłami, z którymi przychodził” – pisze Port. Na dodatek z noszącej jego nazwisko firmy dochodziły złe wieści: zwalniano firmowych weteranów, właściciel obniżał jakość instrumentów. Leo oddał się więc nierobstwu: kupił jacht, którym zaczął zwiedzać świat.



Jimi Hendrix gra na Fenderze Stratocaster na koncercie w Szwecji. Sztokholm, 24 maja 1967 r.

Ale do czasu. „Nie znał w życiu w zasadzie nic poza pracą, więc szybko się znudził” – pisze autor „The Birth of Loud”. W 1975 r. stanął na czele konkurencyjnej do Fendera manufaktury, która istnieje do dziś pod nazwą Music Man – i produkuje przede wszystkim gitary z wyższej półki, których użytkownikami są miłośnicy cięższych brzmień. Cztery lata później, wraz z przyjaciółmi z czasów pionierskich, założył kolejną firmę: G&L. „Najlepsze instrumenty, jakie zrobiłem” – zapewniał lutnik w reklamach z lat 80. I owszem, to wciąż gitary cieszące się renomą, choć niszową.

Gdy Leo Fender rozkręcał G&L, CBS coraz gorzej radziła sobie z utrzymaniem biznesu gitarowego. W 1985 r. skończyło się to wykupem menedżerskim, w którego przeprowadzeniu dyskretnie pomogła m.in. firma Servco – bazujący na Hawajach gigant handlu, który obsługuje przede wszystkim marki motoryzacyj-

ne, ale od czasu do czasu buszuje i na innych rynkach. To po tym wykupie pojawiła się obecna nazwa korporacji, tyle że z czasem udział Servco w akcjonariacie FMIC rósł – aż do przejścia większościowego pakietu udziałów w 2020 r.

Także G&L przeżyła swoich założycieli (sam Fender zmarł w 1991 r.), z czasem jednak tracąc popularność i rozpoznawalność – ostatecznej plajty doczekała się w ubiegłym roku. I tu niespodzianka: nabywcą masy upadłościowej okazała się Fender Musical Instruments Corporation. Problem w tym, że raczej nie chodziło o misję ratunkową – warsztaty G&L zostały ogołocone z maszyn, w biurach zostały gołe ściany, a kompleks fabryczny opustoszał do reszty. Za to jesienią materiały reklamowe, komunikaty prasowe i strony internetowe FMIC zaczęły – po raz pierwszy od dekad – odwoływać się do Leo Fendera i jego dziedzictwa.



FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Tu finalnie historie splatają się w jedną nić, która dla środowiska muzyków ma dosyć jednoznaczny sens: oto wielka korporacja przejęła nazwisko i twarz mistrza, by dodać sobie szacunku bardzo potrzebnego na tym rynku – czym są bowiem gitarzyści dla swoich fanów, tym potrafią być lutnicy dla gitarzystów. Przebrani za artystów zimnokrwistych menedżerowie będą tym bardziej zarzucać rynki instrumentami o obniżonej jakości, za to za horrendalne ceny. Pisma cease-and-desist to tylko kolejny krok na tej drodze: przyszedł czas na wycięcie konkurencji.

Burzenie status quo

W tym roku globalny rynek gitar elektrycznych ma osiągnąć wartość 6,11 mld dol. (według Fortune Business Insights). A to dopiero przygrzywka, bo-

wiem prognoza z tej samej analizy, dotycząca 2034 r., mówi o 11,3 mld. Czy taki wzrost będzie rzeczywiście miał miejsce – dopiero się przekonamy, bowiem rozmaite wspomniane czynniki, wpływające na ten rynek, nie są wcale takie jednoznaczne: pokolenie boomerów ratuje sprzedaż, wielu z nich posiada kolekcje liczące co najmniej po kilkadziesiąt gitar rozmaitej wartości i marki. Przykładowo facebookowa grupa Guitar Collectors liczy sobie niemal 62 tys. członków.

Ale też wejście baby boomersów na rynek w latach 80. nie uratowało go przed tąpnięciem. Odbicie nadeszło w kolejnej dekadzie, gdy na początku lat 90. powróciła moda na gitarowe granie, a scena grunge z lubością chwyciła za instrumenty liczące sobie po kilkadziesiąt lat, często zdrowo poobijane i po wielu modyfikacjach. Nonszalancki, nie-

szej dekady obecnego stulecia, producenci gitar znów mogli mówić o dobrej passie, gdy kilkanaście lat temu znów przyszła bessa: muzyka elektroniczna i bardziej taneczna zepchnęły gitarowe rzemiosło w cień.

W 2017 r. „The Washington Post” opublikował rynkową analizę pod znaczącym tytułem: „Śmierć gitary elektrycznej”, z której wynikało, że młodych wiośła nie interesują (Gibson, wielki rywal Fendera, zbankrutował w 2018 r.). Dwa lata później życie przyniosło ripostę – pandemia sprawiła, że zamknięci w domach aspirujący muzycy nagle postanowili odbić sobie mitręgę wcześniejszego życia zawodowego i sprzedaż gitar (i innych atrybutów szarpidruta, takich jak wzmacniacze czy efekty gitarowe) biła rekordy. Zaś po pandemii zaczęły się lata chude, co zdaje się popychać korporacje takie jak FMIC do bardziej desperackich działań.

A wyrosli im przez lata pod bokiem potężni konkurenci. Amerykańska firma PRS – od inicjałów nazwiska założyciela Paula Reeda Smitha – nie dość, że wypycha Fendera i Gibsona z półki premium, oferując równie drogie, ale i zwykle starannie zrobione instrumenty według oryginalnego designu, to jeszcze dosyć energicznie promuje modele, które korzystają z klasycznych wzorców: Silver Sky imituje Stratocastery (z wyjątkiem strzeżonej osobnym patentem główki gitary), z kolei bazowy wariant PRS Singlecut jest na tyle blisko Gibsonów Les Pauli, że ich producent swego czasu (bez powodzenia) pozwał PRS w sądzie.

Na drugim biegunie są producenci tacy jak europejski potentat rynku, firma Thomann, która w ramach swojej marki – Harley Benton – produkuje w Azji repliki wszystkich najpopularniejszych modeli na rynku plus kilka własnych. Ze względu na ceny, często nieprzekraczające 1 tys. zł za instrument, prawdopodobnie sprzedaje ich wielkie ilości. Obie wspomniane firmy należą do tych, które otrzymały wezwania cease-and-desist, z czego Niemcy odpowiedzieli kontrpozwem i groźbą zerwania współpracy z Fenderem – a można się domyslać, że przez Thomann FMIC sprzedaje znaczną część swojej produkcji.

W jeszcze mniej komfortowej sytuacji są indywidualni lutnicy. Wykonanie instrumentu wysokiej jakości wymaga tygodni pracy, więc cena takiej gitary sięga tego samego pułapu, co instrumenty premium globalnych firm (czyli zaczyna się od kilkunastu tysięcy złotych), albo go przewyższa. Na dyktowanie takich stawek pozwalają sobie nieliczni, głównie te warsztaty czy manufaktury, które zdobyły sobie rozpoznawalność wśród renomowanych artystów. Pozostali zdają się na maszyny, które wycinają najpopularniejsze kształty, w tym S-style, lub wariacje na ich temat. Czasem dokonują modyfikacji przetworników, mostków, detali wykończenia. Wtedy zamiast jednej gitary można zaoferować klientom kilka w miesiącu, odpowiednio taniej. Taka produkcja także stanowi spory wycinek owych 6 mld dol. rynku.

Stawka w tej próbie sił jest zatem niebagatelna. FMIC gra va banque, bo musi sobie zdawać sprawę, że nie zdoła zablokować kontenerów z replikami powstającymi w Azji (gdzie zresztą sama produkuje swoje tanie marki). Owszem, niedawno Fender wygrał sprawę w niemieckim sądzie przeciwko jednej z chińskich firm produkujących gitary S-style – tyle że adwersarze nawet nie pofatygowali się na rozprawy i dalej robią, co robią. Chodzi jednak raczej o wyrwanie takiego kawałka tortu, jaki tylko da się uszczknąć. Tyle że w trakcie tej operacji korporacja sięga po takie środki i argumenty, które mogą do reszty zniechęcić jej fanów – zarówno nadużywając nazwiska twórcy gitary, którego z interesu pozbyto się bez żalu, jak i zrażając do siebie artystów, rzemieślników i prostych amatorów.

Zburzenie status quo, w którym grało się na fenderze, a jak się miało więcej determinacji i pieniędzy – na Fenderze – może sprawić, że finalnie wyjście na scenę ze Stratocasterem będzie nie tyle nawiązaniem do rockowej liturgii, ile po prostu obciachem. ©

Kultura

Artysta, jaki jest

Kim są artyści? Prawo tego nie wie. Nowa ustawa, która ma im pomóc w zachowaniu ciągłości składek na ZUS, będzie wymagała ich weryfikacji – ale tylko tych, którzy zarabiają najmniej

Konrad

Wojciechowski

Spotyka się dwóch kolegów z branży muzycznej. Dobrze się znają. Wspólnie pracowali nad nagraniami w studiu. Teraz przyszli na komisję egzaminacyjną – jeden zadaje pytania, drugi odpowiada. Egzaminator musi wydać decyzję, czy kolega, z którym jeszcze niedawno nagrywał piosenki, nadaje się do pracy na estradzie.

Kandydat dobrze posługuje się instrumentem, więc egzamin praktyczny zdaje bez problemów. Potyka się na teorii (połączonej z historią). Nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, w której kompozycji Chopin zacytował kołędę. Znajomy zasiadający w komisji nie zamierza traktować ulgowo kolegi po fachu i go oblewa. Negatywnie zweryfikowany później połączy kropki. Jest przekonany, że dosięgła go środowiskowa zemsta, gdyż odmówił znanej artystce akompaniowania podczas festiwalu. Ale to marne pocieszenie. Bez weryfikacji musi grać za niższe stawki przysługujące muzykom amatorom. A to świetny instrumentalista, wyborczy aranżer, tylko bez pokończonych szkół. Branża go ceni, piosenkarze i piosenkarki angażują do współpracy, więc szukają luk systemowych, aby skreślonoemu artyście lepiej zapłacić.

Znana to melodia

Opisywana sytuacja zdarzyła się w czasach schyłkowej PRL. Dziś to rynek dyktuje warunki – im więcej ludzi kupi bilet na koncert, tym więcej artysta zarobi. Wówczas obowiązywały sztyw-

ne stawki za występ, niezależnie od frekwencji.

W szczycie popularności rocka, w połowie lat 80., publiczność waliła drzwiami i oknami, by zobaczyć na żywo Republikę, Maanam, Oddział Zamknięty czy innych „szarpidrutów” bez wykształcenia. Ucierpieli na tym jazzmani z dyplomem i klasycy czytający nuty – masowemu odbiorcy raczej obojętni. Z odsieczą pospieszyło ówczesne Ministerstwo Kultury i Sztuki, które doszło do wniosku, że o uposażeniu artysty powinny decydować wykształcenie i wiedza, dlatego lepiej wyedukowanym należą się wyższe stawki koncertowe. Taka forma rekompensaty za lata nauki, a przy okazji siłowa próba spacyfikowania rynku wobec niemożności zmiany popytu. Skoro nie można wpłynąć na popularność, trzeba wprowadzać zawodowe uprawnienia.

O sprawie rozpisywała się z przejęciem prasa muzyczna. „Popłoch wśród rockmanów” – alarmował w tytule artykułu branżowy „Non Stop”. Od stycznia 1985 r. straciły ważność ministerialne zaświadczenia dla artystów i powstała nowa komisja, która miała dopuszczać (lub nie) muzyków do zawodu. Egzaminy praktyczne (zagranie dowolnych utworów, test słuchowy, czytanie nut) i teoretyczne (znajomość zasad instrumentoznawstwa i historii muzyki oraz form muzycznych) musieli zdawać wszyscy, którzy nie ukończyli co najmniej średniej szkoły muzycznej i nie pracowali od co najmniej trzech lat w instytucjach artystycznych.

Przed komisję trafiali głównie rockmani, a decyzje wydawali zwykle jazzmani. „Non Stop” przeprowadził wśród artystów ankietę, co sądzą o konieczności poddania się weryfikacji. „Dys-

kutanci twierdzą, że egzaminy zostały wprowadzone specjalnie po to, by znacznie osłabić znaczenie rocka i zawęzić profesjonalne środowisko rockowe” – napisał w artykule dziennikarz Rafał Szczęsny Wagnerowski. Jego prognoza była dość ponura: działanie wbrew zdrowej konkurencji i forsowanie nierentownych wykonawców spowoduje odpływ z rynku muzycznego wielu popularnych artystów i zespołów, ponieważ nie wyżyją z amatorskich stawek.

Autor artykułu dostrzegł w zarządzeniu egzaminacyjnym środowiskową chęć zwalczania artystów zajmujących miejsce w radiu, telewizji i na koncertach, a nawet wręcz wyeliminowania rocka, do czego ostatecznie nie doszło, chociaż w drugiej połowie lat 80. tę muzykę faktycznie dotknął kryzys.

Wykształcenie, dorobek, dochody

Po latach temat weryfikacji wraca jak bumerang. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyjęło w maju projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym osób wykonujących zawód artystyczny. Tym razem gra nie toczy się o wyliczanie stawek koncertowych ani odsiewanie dyplomowanych artystów od niekompletnie wykształconych. Przez cały czas chodzi jednak o pieniądze. Ustawodawca chce zagwarantować dopłaty do ubezpieczeń dla artystów o najniższych dochodach. Aby państwo mogło dopłacać potrzebującym, musi mieć pewność, że ma do czynienia z artystą.

W sektorze kultury pracuje obecnie około 300 tys. osób, z czego tylko nieco ponad jedną piątą stanowią artyści oraz twórcy. I to oni będą brani pod uwagę przy wyliczaniu pomocy. Zespół badawczy Uniwersytetu SWPS pod kierunkiem prof. Doroty Ilczuk doliczył się 62,4 tys. osób spełniających wymogi uprawniające do korzystania z ubezpieczeń i dopłat. Jakie to kryteria? Po pierwsze – posia-

danie artystycznego dorobku. Po drugie – zdobycie wykształcenia w sektorach twórczych albo przynależność do związków i stowarzyszeń branżowych. Po trzecie wreszcie – utrzymywanie się z działalności artystycznej/twórczej. Najwięcej mamy muzyków (16,3 tys.), architektów (13,6 tys.) oraz reprezentantów sztuk wizualnych (13,1 tys.) – wynika z raportu „Policzone, policzeni 2024. Artyści, twórcy i wykonawcy w Polsce” naukowców Uniwersytetu SWPS.

Obliczenia powstały na potrzeby ustawy. Według założeń obejmie ona 27 tys. artystów, których dochody w ciągu ostatnich trzech lat nie przekroczyły ok. 72 tys. zł rocznie (czyli 125 proc. płacy minimalnej). Pomoc będzie miała charakter wyrównawczy – do wysokości składek należnych od minimalnego wynagrodzenia – więc maksymalna dopłata wyniesie 1808 zł (z uwzględnieniem składki na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne).

Łatwiej określić, ile osób będzie mieć prawo do wsparcia, niż kto dokładnie otrzyma pomoc, bo policzonych uprawnionych trzeba będzie sprawdzić. Muszą przejść weryfikację, czyli najpierw uzyskać odpowiedni status.

Pachnie PRL? Jakikolwiek podobieństwa były czysto przypadkowe – zdają się mówić autorzy i obrońcy tego pomysłu. W projekcie ustawy pojawił się zapis, że o statusie artysty zawodowego zdecydują warunki tożsame z tymi, które pozwalały uniwersyteckim badaczom rozpoznać artystów i twórców. Liczy się udokumentowany dorobek w postaci regularnie i profesjonalnie wykonywanego zawodu muzyka, aktora, tancerza czy pisarza oraz uzyskiwane z tego tytułu coroczne przychody w ciągu ostatnich trzech lat.

Ekspertcy wydadzą opinię

Od razu pojawiły się obawy pomieszczenia z niepewnością – kto ma rozdawać uprawnienia. Wyznaczeni artyści innym artystom jak w czasach gospo-





FOT. CUTEIDEAS/SHUTTERSTOCK

darki centralnie planowanej? W projekcie ustawy ten obowiązek spoczywa na Centrum Edukacji i Pracy Artystycznej. – Decyzja o przyznaniu statusu ma być wydawana w terminie 60 dni od złożenia wniosku, a w sprawach szczególnie skomplikowanych – do 90 dni. Decyzję podejmuje dyrektor CEiPA na podstawie rekomendacji zespołu ekspertów – tłumaczy Piotr Jędrzejowski, rzecznik prasowy MKiDN.

Kto będzie wchodził w skład zespołu ekspertów i udzielał dyktorii rekomendacji? Jak liczne będzie grono doradcze? Czy będzie kadencyjne? W jaki sposób wyłanianie i przez kogo? Wracamy do projektu ustawy. Pomysłodawcy przewidują powołanie Komisji Opiniującej złożonej ze 145 osób na czteroletnią kadencję. Po pięciu członków komisji wskażą: minister kultury, minister właściwy ds. zabezpieczenia społecznego oraz prezes ZUS. Pozostałe 120 osób wyłonią organizacje zrzeszające artystów. Co na to środowisko? Czy te zapisy dają gwarancje przejrzystości?

– Mając na względzie fakt, że decyzje nie będą podejmowane jednoosobowo, tylko w składach trzyosobowych, opinia Związku Zawodowego Aktorów Polskich w tym zakresie jest jak najbardziej pozytywna – informuje Robert Gulaczyk, przewodniczący zarządu głównego ZZAP. – Warto dodać, że osoby zasiadające w Komisji Opiniującej nie będą zatrudniane na etacie, jak bywa często mylnie powtarzane w przestrzeni publicznej. Członek takiej komisji otrzyma wynagrodzenie określone w rozporządzeniu do ustawy. Według projektu to 50 zł za rozpatrzenie pojedynczego wniosku.

– Budowane przez ekspertów opinie oparte na ramie kwalifikacji zawodowych miałyby szansę na rzetelność, transparentność, a także równowagę oceny, jakiej będą podlegać wnioskodawcy – bardzo dyplomatycznie odnosi się do projektowanego mechanizmu weryfikowania artystów Ludwika

Sieczkowska, specjalistka ds. promocji Związku Artystów Scen Polskich.

– Trudno o rozwiązania idealne. Cieszymy się, że MKiDN podjęło realne działania w celu załatwienia tej palącej potrzeby. Jeżeli przepisy nie będą działały właściwie i nie przyniosą środowisku pożytku, to pierwsi o tym powiemy. Dajmy jednak szansę tej ustawie. Niech przepisy wejdą w życie, żebyśmy mogli zobaczyć, co można zrobić lepiej – apeluje Leszek Biolik, przewodniczący Związku Zawodowego Muzyków RP, producent muzyczny i wieloletni basista Republiki.

Po pozytywnej weryfikacji artysta otrzyma uprawnienia zawodowe na okres pięciu lat z możliwością przedłużenia o kolejne, o ile zadeklaruje gotowość pracy twórczej w ciągu następnych dwóch lat. Nieaktywni artyści będą się musieli liczyć z wygaszeniem uprawnień.

Ocenionym negatywnie pozostanie tryb odwoławczy. – W przypadku odwołania sprawa trafia do ministra kultury i dziedzictwa narodowego i jest rozpatrywana zgodnie z kodeksem postępowania administracyjnego, co oznacza co do zasady, że na decyzję jest miesiąc, a w sprawach bardziej złożonych dwa miesiące – tłumaczy Jędrzejowski.

Nie dzielić na lepszych i gorszych

Pierwotnie ustawa dotyczyła „artysty zawodowego”, lecz ta nazwa wzbudziła niepokój środowisk kulturalnych. Kilka organizacji, w tym Związek Zawodowy Muzyków RP, Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury, Unia Teatrów Niezależnych, Związek Kompozytorów Polskich czy Polskie Stowarzyszenie Montażystów, zaproponowało jej rozwiniecie. Ich zdaniem, skoro projekt nie obejmuje wszystkich artystów, powinien literalnie dotyczyć „osób wykonujących zawód artystyczny uprawniających do szczególnego tytułu ubezpieczeniowego”.

Chodzi o precyzję i porządek. Artystą jest się niezależnie od formy zatrudnienia czy modelu organizacyjnego pracy, a ustawa nie obejmuje ubezpieczeniem oraz dopłatami do składek wszystkich artystów. „Użycie szerokiego i powszechnie rozumianego pojęcia «artysta zawodowy» w odniesieniu do wąskiej, administracyjnie zdefiniowanej grupy, może prowadzić do nieporozumień, napięć oraz protestów środowiskowych” – napisali w lutym 2026 r. przedstawiciele 20 organizacji w liście do ministra kultury i dziedzictwa narodowego Marty Cienkowskiej. Przecież nikt nie chce dzielić artystów na lepszych i gorszych, na bardziej utytułowanych i mniej zasłużonych. Ustawa nie jest po to, aby oceniać, kto ma prawo wykonywać zawód twórczy, a jedynie nadawać uprawnienia ubezpieczeniowe.

Część środowiska, nie dość wnikliwie śledząca pracę nad przepisami, poczuła się jednak wykluczona i pozbawiona rzekomych przywilejów, a w społecznym odbiorze powsta-

Według założeń dopłaty obejmą 27 tys. artystów, których dochody w ciągu ostatnich trzech lat nie przekroczyły ok. 72 tys. zł rocznie (czyli 125 proc. płacy minimalnej). Pomoc będzie miała charakter wyrównawczy – do wysokości składek należnych od minimalnego wynagrodzenia

ło wrażenie, że artysta to chciwy obibok, który buja w obłokach i czeka na pomoc państwa. Oliwy do ognia dolali politycy Konfederacji, którzy próbowali podzielić artystów wedle surowych kryteriów rynkowych: jeśli nie potrafisz utrzymać się ze sztuki, to nie jesteś zawodowcem, tylko hobbystą.

– Nie rozmawiamy o gotówce do ręki. Artyści nie są roszczeniowi, co próbują przypisać nam politycy. Walczę o te przepisy, chociaż sam z nich nie skorzystam, bo prowadzę jednoosobową działalność gospodarczą, a przedsiębiorcy są preferencyjnie traktowani: mają ulgi podatkowe i mały ZUS. Chodzi o stworzenie systemu, w którym zatrudnieni na umowach o dzieło mają szansę na płynność w opłatach do ZUS. Pomoc i dopłaty dla artystów w sytuacji kryzysowej są częścią tego systemu. Przystąpienie do tych rozwiązań jest dobrowolne. A dla tych w trudnej sytuacji są rodzajem ochronnej siatki, aby zapewnić najgorzej sytuowanym miękkie lądowanie i nie dopuścić do katastrofy życiowej – tłumaczy obrazowo Biolik.

Artysta jak rolnik

Przepisy nie obejmą przedsiębiorców ani pracowników etatowych, chociaż część artystów ma firmę albo umowę o pracę. To wszystko komplikuje precyzyjne ustalenie, kim właściwie jest artysta. Łatwiej określić – kim nie jest. Pięć lat temu, w środku pandemii, ruszyła akcja społeczna „Jestem muzykiem, nie celebrytą”, która próbowała zwrócić społeczną uwagę na trudną sytuację pozbawionych szansy zarobkowania artystów w związku z epidemiologicznym zawieszeniem imprez masowych. Celebryta kojarzy się z rentierem zarabiającym na pokazywaniu swojego wizerunku. Artysta – taki przekaz płynął z akcji – żyje z pracy, którą twórczo wykonuje i przeważnie nie zarabia przy tym oszałamiających pieniędzy.

– Nie ma jednej definicji artysty. Dużo za dużo w niej subiektywności – wtrąca prof. Dorota Ilczuk.

W potocznym rozumieniu artystą jest aktor filmowy i teatralny, muzyk estradowy, pisarz i tancerz – każdy, kto występuje publicznie, a jego praca wynika z prowadzenia działalności kulturalnej. Jeśli napisze piosenkę i ją zaśpiewa, uchodzi za artystę. Artysta to twórca czy odtwórca? Obojętne od 1994 r. prawo autorskie oddziela autora, czyli twórcę, od artysty, czyli wykonawcy. Twórcą jest autor utworu wyrażonego słowem, symbolami matematycznymi albo

znakami graficznymi. Dziełem może być rzeźba, film, obraz czy piosenka. Ważne, aby powstało w wyniku indywidualnej pracy i miało oryginalny charakter. Może być publikowane czy rozpowszechniane tylko za zgodą twórcy. Ustawie łatwiej było określić, co jest przedmiotem (utworem) prawa autorskiego – podmiot (autor) nie doczekał się sprecyzowanej definicji. Wedle przepisów „twórcą jest osoba, której nazwisko (...) uwidocznił na egzemplarzach utworu lub której autorstwo podano do publicznej wiadomości (...) w związku z rozpowszechnianiem utworu”. Jeśli autor się nie ujawni, trzeba domniemywać, że twórcą jest producent lub wydawca dzieła.

W tym znaczeniu twórcy nie należy mylić z artystą wykonawcą. Obowiązujące prawo mówi jedynie o osobach, które w sposób twórczy przyczyniły się do powstania wykonania. I ma na myśli w szczególności: aktorów, recytatorów, dyrygentów, instrumentalistów, wokalistów, tancerzy oraz mimów. Ich działania określa „artystycznym wykonaniem”. Co ważne, praca aktora czy tancerza pozostaje pod ochroną prawa niezależnie od wartości, przeznaczenia czy sposobu wyrażenia jego działań.

– Nieważne też, czy jest to wykonanie amatorskie czy profesjonalne – podkreśla Anna Bleszyńska-Drewicz, radczyni prawna ze Stowarzyszenia Autorów Wykonawców (SAWP). – Punktem wyjścia musi być jednak ustalenie, kiedy dane wykonanie można uznać za artystyczne. W każdym konkretnym przypadku decyduje ocena, czy wykonanie zawiera w sobie element twórczy, osobistej interpretacji utworu, czy posiada choćby minimalny poziom indywidualnego wkładu.

Zdaniem Leszka Biolika nie ma potrzeby tworzenia definicji artysty, bo definiuje się on poprzez owoce pracy twórczej i wykonywane dzieła. Dyplom niczego nie przesądza. Kluczowe jest to, co się robi, a nie kim się jest.

– Artystę można porównać do rolnika. Żeby zebrać, musi zasiać. Sieje, podlewa, pielęgnuje i ma nadzieję na dobre plony. Zdarza się, że życie skomplikuje plany. Tak jak rolnik, któremu żniwa pokrzyżuje susza, nadmierne opady albo inne czynniki atmosferyczne, tak w przypadku artysty może się okazać, że producent wycofa się z finansowania czy płyta utknie w necie bez promocji, a informacja o muzyce nie dotrze do odbiorcy. Inwestycji i czasu nie da się cofnąć. To jest zawód nieustannie związany z ryzykiem nie zawsze zależnym od samego twórcy. Miejmy tego świadomość – apeluje Biolik. ©

Historia daje, historia odbiera

To portret Milana Kundery, który, dojrzawszy i wyzwoliwszy się z młodzieńczego idiotyzmu, pragnie prowadzić nudne życie, ale wszystko, co robi w tym celu, okazuje się groteskowo przeciwnie skuteczne

Piotr

Kofta

Pisarki i pisarze mają przeważnie nudne życie. Nic w tym złego. To stan oczekiwany, a może nawet pożądany. Literatura bowiem zasadniczo nie polega na opisywaniu przygód. W każdym razie ciekawe przygody nie wywołują automatycznie efektu w postaci ciekawych książek. Jest, jak należy przypuszczać, przeciwnie. Jednocześnie literatura wcale nie musi bazować na wyobraźni. Wystarczą umiejętności obserwacji, kondensacji i filtracji przez język, świadomość istnienia rozmaitych narzędzi narracyjnych, kontrola emocji, wreszcie: przyjęcie właściwego punktu widzenia.

To niby mało. Ale gdy rezygnujemy jednocześnie z przygód i z wyobraźni, robi się trudno. Pisarz staje się samozwańczym demiurgiem, który codziennie wyciąga z kartonowego pudełka szare figurki i próbuje zaplanować ich los. Potem natomiast musi przekonać czytelnika, że to opowieść o żywych ludziach.

Mistrzem takiej artystycznej instalacji, sporządzonej za pomocą słów, był zmarły trzy lata temu Milan Kundera, jeden z największych czeskich prozaików XX w. W ożywianiu figurek z pudełka pomagały mu trzy dodatkowe asy w rękawie: muzyka, historia i ironia.

Proza jak muzyka

Autor „Śmiesznych miłości”, syn wybitnego morawskiego muzykologa i kompozytora Ludvíka Kundery (1891–1971), na pewnym etapie twórczości zorientował się, że teksty literackie mogą z powodzeniem posługiwać się strukturą utworu muzycznego (z jego wariacjami, przetworzeniami tematu głównego, regulacją tempa i głośności czy umiejętnie podkreśloną kodą).

Gdy zaś na scenę wkraczają historia, przygody i wyobraźnia, tak czy owak muszą usunąć się w cień. Historia – a może ściślej: moment historyczny – zdecydowała o wielkim sukcesie powieści Kundery, który znakomicie umiał pokazać fatalistyczne uwikłanie jednostek w totalitarną ideologię. Historia – a może ściślej: zmiana momentu historycznego – zdecydowała też o tym, że Kundera się dziś nie

czyta. A przynajmniej czyta się go dużo mniej i rzadziej. Wreszcie: historia to także osobiste fatum samego autora – zapewniła wehikuł dla jego kariery i wyniosła go na szczyt, zarazem jednak sprawiła, że przez resztę życia musiał się tłumaczyć ze swoich młodzieńczych wyborów.

Kunderowska ironia to właściwie postawa narratora względem losów opisywanych przezeń postaci (a w konsekwencji – zapewne – postawa autora względem własnego życia): poczucie, że przytrafiło im się nie to, co powinno być im się przytrafić, a jednocześnie – że nie mogło im się przecież przytrafić nic innego. Wyobcowanie z losu, który był nie do uniknięcia.

Jest jeszcze jeden niezbywalny składnik tego pisarstwa, o którym nie wspominałem. „Seks zawsze stanowił istotny element poetyki autora, który zwykł mawiać, że interesują go tylko literatura i kobiety (lecz obsesyjnie wracał do polityki i historii, w których cieniu minęły jego młodość i wiek dojrzały: do stalinizmu i husakowskiej normalizacji)” – pisze Aleksander Kaczorowski w świeżo wydanej biografii autora „Nieznosnej lekkości bytu”; a potem przywołuje wypowiedź innego z wielkich czeskiej literatury, Josefa Škvoreckiego: „Myślę, że znam tajemnicę sukcesu Milana. Po prostu we właściwym czasie pojawił się z tematyką seksu i erotyki; w odróżnieniu jednak od zalewu podobnej literatury produkowanej przez Amerykanów, Kundera jest nie tylko znacznie lepszym pisarzem: seks jest u niego zawsze połączony z czymś więcej, a owo «coś więcej» (co zawsze posiada charakter filozoficzny) jest szalenie ważne – seks owo «coś» wyróżnia, oświeśla, absurduje”. Od siebie dodam, że seks u Kundery jest prawie zawsze metaforą władzy (albo podległości).

Zerwać zasłonę

Kaczorowski nie bez powodu nadał swojej książce o Kunderze podtytuł „Życie za zasłoną”. Oczywiście – w pierwszej kolejności to nawiązanie do tytułu eseju samego Kundery: „Zasłona” (2005, wyd. pol. PIW, Warszawa 2006, przeł. Marek Bieńczyk) konceptualizuje kluczową rolę literatury w odkrywaniu nagiej praw-

dy o ludzkiej egzystencji. Dokonuje się to w wyniku rozerwania owej „zasłony”, splotu ugruntowanych obyczajów, ideologicznych zakazów i stereotypowych przekonań związanych z religią, polityką czy hierarchią (kłania się pojęcie habitusu francuskiego socjologa Pierre’a Bourdieu, ograniczające zakres nie tylko tego, co jednostka może zrobić, lecz także tego, co w ogóle może pomyśleć).

Ale u Kaczorowskiego owa zasłona jest również czymś innym – granicą, która oddziela to, co prywatne, od tego, co publiczne. W świecie Kundery istnieje pewien idealny układ: teksty są publiczne, niemniej życie pisarza pozostaje ukryte w cieniu. Autor pojawia się w przestrzeni dyskursywnej jedynie jako swoje narracyjne alter ego, persona „pisarza” obecna na kartach książek. Wiele czynników – włącznie z jego własnymi wcześniejszymi wyborami życiowymi – uniemożliwiło jednak Kunderze realizację tego programu artystycznego. W dodatku przyszło mu żyć w czasach, gdy potrzeba prywatności, zwłaszcza u osoby znanej, budzi podejrzenia, by nie powiedzieć: irytację.

Kaczorowski to wytrawny znawca Czech i znakomity biograf. Jego książki o Václavie Havlu, Bohumilu Hrabalu czy Ocie Pavlu wyznaczają – gdy idzie o jakość i przyjemność z lektury – czołówkę tego gatunku na naszym rynku. A jednak z Kunderą miał rzeczywisty problem. Bo Kundera naprawdę chronił swoją prywatność, i to w sensie dosłownym: przez 40 lat nie udzielał wywiadów, stronił (poza kontekstem własnych powieści i esejów) od refleksji autobiograficznych, zobowiązywał znajomych do milczenia, a jego ogromne archiwum rękopisów i korespondencji zostało unicestwione: w 2019 r. przeszło przez niszczarkę, a następnie wyjechało do podparyskiej spalarni śmieci. Jest więc tak, że biografię tę trzeba konstruować z domysłów, aluzji, konfrontacji zdarzeń z kontekstem, a nawet z samą literaturą. Jak na mój gust, dałoby się w ten sposób ułożyć przynajmniej parę narracji o życiu Kundery, a każda byłaby kompletnie inna. Weźmy głośną książkę Jana Nováka „Kundera. Český život a doba” („Kundera. Czeskie życie i czasy”) z 2020 r. – to jest właściwie rodzaj egzekucji, biografia napisana z zamiarem całkowitego skompromitowania głównego bohatera jako kolaboranta, seksoholika, donosiciela i oszusta.

Kaczorowski próbuje iść przez tę materię inaczej, drogą środka. Nie jest mu łatwo – dość długo jego książka szuka swojego tematu, szukając oparcia w historii politycznej Czechosłowacji, szczególnie okresu stalinizmu i Praskiej Wiosny, a także w dziejach recepcji ówczesnej literatury środkowoeuropejskiej na Zachodzie (był to przecież w latach 70. i 80. boom, może nie na miarę latynoamerykańskiego, ale jednak boom).

Ostatecznie jednak „Życie za zasłoną” ów temat znajduje w postaci opowieści o człowieku, który najpierw, jako młody poeta i dramaturg, zaangażował się, także z powodów rodzinnych, bardzo mocno w komunizm, i to w najgorszych latach tego komunizmu, potem zaś próbował się z owego oczarowania wyzwolić za pomocą literatury i politycznego aktywizmu po stronie reformatorów systemu.

Mieć nudne życie

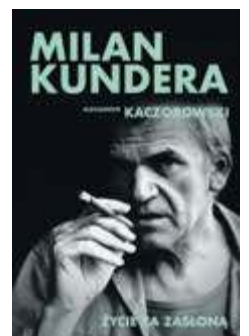
Problem w tym, że jemu akurat nigdy nie wybaczone dawnego brylowania wśród stalinowców – być może dlatego, że odniósł wielki sukces na Zachodzie, a być może z tej przyczyny, że nigdy nie umiał w publicznych wypowiedziach zdobyć się na pełną szczerość i ekspiację. Wręcz przeciwnie: w oczach zachodniej publiczności uchodził za czółowego opozycjonistę, pozbawionego przecież pracy i zmuszonego do emigracji przez komunistyczny reżim. Środowiska rzeczywistej opozycji czechosłowackiej nie przyjmowały dobrze jego cierpienniczych wyznań. Kundera – zwłaszcza w późniejszych latach, gdy zamilkł – raczej niezasłużenie został w pewnym sensie w Czechach kozłem ofiarnym: symbolem nieukaranej, a wręcz nagrodzonej kolaboracji z totalitaryzmem.

Ale Kaczorowski przebija się przez tę warstwę i schodzi niżej – rysuje portret nieśmiałego człowieka, który, dojrzawszy i wyzwoliwszy się z młodzieńczego idiotyzmu, pragnie po prostu prowadzić nudne życie, ale wszystko, co robi w tym celu, okazuje się groteskowo przeciwnie skuteczne. Obsesyjna kontrola, jaką Kundera sprawował nad redakcją swoich książek (a także ich przekładów na języki obce), mogła wynikać właśnie z tego, że ilekroć jego słowa konfrontowały się ze światem, to ostatecznie świat, a nie autor, decydował, co te słowa właściwie znaczą. Było tak zwłaszcza wówczas, gdy w 1975 r. małżeństwo Kunderów (proszę zwrócić uwagę na równoległą opowieść, jaką Kaczorowski snuje o żonie Milana Věrze – to ważne) wylądowało na emigracji we Francji.

W czasach mojej młodości krążył następujący dowcip: „Jaka jest definicja nudnego faceta? Nudny facet to taki facet, z którym kobieta woli pójść do łóżka, niż tłumaczyć mu, dlaczego nie chce”. (Oczywiście wszyscy uważaliśmy się wtedy za ciekawych facetów). Nie mogę się opędnąć od wrażenia, że Kundera opowiadał zachodnim mediom te wszystkie kombatanckie głupoty, bo zwyczajnie nie był w stanie się zdobyć na wyjaśnienie, dlaczego nie chce. A potem wspaniałej „Księgi śmiechu i zapomnienia” nikt nie przeczytał jako autokomentarza do tej dwuznacznej emocjonalnie sytuacji. ©©

Aleksander Kaczorowski

„Milan Kundera. Życie za zasłoną”, Muza, Warszawa 2026



Istnieje jeszcze świat poza AI

Chipflacja, zwolnienia i boom inwestycyjny. Jak sztuczna inteligencja wpływa na gospodarkę?

Artur

Klimek

Gdy brytyjski bank Standard Chartered ogłosił zmniejszenie zatrudnienia o ponad 7 tys. na rzecz zwiększenia wykorzystania sztucznej inteligencji, spotkał się z krytyką stylu, w jaki zostało to przekazane. Inne firmy wykorzystują argument AI, aby ograniczyć przerost zatrudnienia sprzed kilku lat i jednocześnie wskazać na podążanie za głównym trendem technologicznym. Jeden z dostawców rozwiązań AI reklamował się hasłem głośzącym, że po skorzystaniu z jego rozwiązań firmy już nigdy nie będą musiały zatrudniać pracowników. Część przedsiębiorstw woli nie używać argumentu o zastępowalności pracowników przez algorytmy, aby nie wzbudzić załogi i opinii publicznej. Tyle że nikt nie inwestowałby setek miliardów dolarów w AI, gdyby nie chciał obniżyć kosztów z tytułu zatrudniania ludzi. Najwięcej komentarzy odnośnie do roli AI płynie ze strony firm amerykańskich, ponieważ to tam powstają najbardziej zaawansowane modele oraz infrastruktura, a biznes mocno stawia na zastosowanie nowej technologii.

Za decyzjami o zwolnieniach stoją zamiary zwiększenia produktywności. Produktywność to wartość pracy przypadająca na jedną jednostkę pracy, np. na godzinę. Wystarczy zmniejszyć liczbę pracowników i przepracowanych godzin przy takiej samej wartości wykonanej pracy i już problem rozwiązany. Jeśli jednak chodzi o źródła wzrostu produktywności, to obraz jest daleki od wyrazistości. W ekonomii trudno wskazać wpływ pojedynczego czynnika na wyniki całej gospodarki. I tak wpływ AI na rynek pracy jest trudny do jednoznacznego określenia, bo jednocześnie zachodzą inne procesy dotyczące siły roboczej – zmiany demograficzne, zaostrożenie polityki migracyjnych czy rewolucja w polityce handlowej.

Trudno wskazać, czy fala wzrostu produktywności już nadeszła, nadejdzie niedługo czy jest tylko iluzją. Stąd warto poszukać wpływu AI na gospodarkę, ale takiego, który można już zmierzyć. I znowu na pierwszy plan wysuwają się Stany Zjednoczone. Anshul Sehgal, menedżer z banku Goldman Sachs, przewiduje, że AI oznacza nowe uprzedmiotowanie nie tylko amerykańskiej, lecz także światowej gospodarki. Centra danych powinny być zatem traktowane jako infrastruktura produkcyjna nowej gospodarki. I to właśnie jest założenie

hiperskalerów, czyli największych dostawców mocy obliczeniowych.

Inwestycje finansowane długiem

Potężne inwestycje w nowe moce obliczeniowe są chyba najbardziej namacalnym elementem całej dyskusji o wpływie AI na gospodarkę. Centra danych są bardzo kapitało- i energochłonne. Procesy i materiały są importowane głównie z Azji, dlatego komponenty do infrastruktury AI odpowiadają za dużą część deficytu handlowego USA, a Tajwan stał się większym źródłem amerykańskiego importu niż Chiny.

Z drugiej strony funkcjonowanie centrów danych nie wymaga licznej rzeszy ludzi. Pasuje tutaj idealnie pojęcie wzrostu bez zatrudnienia. Pracownicy są jednak potrzebni na etapie budowy. Mowa tu o ograniczonej grupie specjalistów. Elektryk czy inżynier może zarobić dużo więcej, jeśli przeniesie się na pewien czas na budowę centrów. W dłuższym okresie powoduje to podwyższenie wynagrodzeń tych specjalistów w całej gospodarce. A należy zwrócić uwagę, że budowa centrów danych, szczególnie w USA, oznacza realizację projektów za wszelką cenę. Oznacza to wysysanie materiałów, specjalistów i energii z innych obszarów.

Według szacunków wydatki na rozwój sztucznej inteligencji przez największe firmy tylko w tym roku sięgną ponad 700 mld dol., podczas gdy przychody będą kilkukrotnie niższe. Związane jest to z cenami płaconymi przez klientów za tokeny pozwalające na korzystanie z AI. Zdążył już się pojawić pewnego rodzaju benchmark, który można porównać do ceny baryłki ropy naftowej na światowych rynkach. Silicon Data LLM Token Expenditure Index powstaje na podstawie oszacowania kosztów ponad 400 modeli, co według deklaracji dostawcy tego wskaźnika odpowiada za ponad 90 proc. rynku dużych modeli językowych. Średnia cena za 1 mln tokenów w połowie czerwca wynosiła około 1,8 dol. Na początku roku płaciliśmy 1 dol. Trend jednak nie jest stabilny i występują częste zmiany. W przypadku spadków coraz trudniej będzie pokryć wysokie koszty związane z rozwojem i funkcjonowaniem modeli AI. Jest to ciągle inwestycja w niepewną przyszłość.

Japoński bank Nomura podsumował ostatnio wolne środki finansowe hiperskalerów i okazało się, że spadły one z około 300 mld dol. w 2024 r. w okolice zera obecnie, podczas gdy dla pozostałych firm wchodzących w skład indeksu S&P 500 stabilnie rosły.

Skoro zasoby gotówkowe się wyczerpują, a strumienie przychodów są niewystarczające, konieczne jest sięgnięcie po finansowanie zewnętrzne.

Duża część nowego zadłużenia amerykańskich firm to emisja obligacji pozwalających na finansowanie rozwoju sztucznej inteligencji.

Wejście na giełdę SpaceX i pozyskanie 75 mld dol. to tylko jeden z widocznych elementów poszukiwania finansowania AI. Zaraz po debiucie ogłoszono, że firma wyemituje obligacje na kwotę 25 mld dol. Koreański SK Hynix planuje emisję swoich akcji w USA, aby pozyskać 29 mld dol. na rozwój mocy produkcyjnych. Nawet zasobna w gotówkę Nvidia sięga po pieniądze z rynku i to niemałe, bo 20 mld dol. Finansowanie długiem przy prawie zerowych kosztach oznacza dalsze zwiększenie możliwości inwestycyjnych tej firmy.

(Nie)gasnący entuzjazm giełdowy

Wygranych i przegranych w wyścigu AI dobrze pokazują wyceny giełdowe. Łączna kapitalizacja wszystkich spółek notowanych na Tajwanie jest już wyższa niż indyjskiego rynku. Różnica polega na tym, że Indie są kilkukrotnie większą gospodarką, ale nie błyszczą w zakresie AI. Wystarczy jedna spółka (w przypadku Tajwanu TSMC), która pociągnie cały rynek. Takie dynamiczne wzrosty wiążą się też z częstymi korektami, co doprowadza do rozchwiania rynku. Giełda koreańska już kilkakrotnie wstrzymywała w tym roku handel ze względu na zbyt wysokie zmiany indeksów. Gdy SK Hynix i Samsung Electronics spadły o ponad 12 proc., indeks KOSPI obniżył się o 10 proc. Kolejnego dnia nastąpiło szybkie odbicie. Potem koreańscy czempioni zapowiedzieli duże inwestycje w zwiększenie mocy produkcyjnych modułów pamięci i znowu nastąpiły spadki. Tempo rozwoju wydarzeń – od euforii do masakry rynkowej – jest szalone. Pokazuje to też nieproporcjonalnie wysoki wpływ pojedynczych podmiotów na całe giełdy, a w dalszej kolejności gospodarki. Bank Korei podwyższył prognozę wzrostu gospodarczego na ten rok z 2 proc. do 2,6 proc. głównie za sprawą silnego eksportu półprzewodników.

SK Hynix, firma, o której do niedawna mało kto słyszał, stała się koreańską spółką o najwyższej wycenie. Wyprzedziła Samsung Electronics, który także bardzo dużo zyskuje na fali AI. Podobnie w Japonii – Toyota w pewnym momencie została wyprzedzona przez SoftBank, który dużo inwestuje w AI. Ten ostatni został wyprzedzony przez Kioxie, producenta pamięci, którego nazwa mówi większości z nas jeszcze mniej. Pośród najcenniejszych japońskich spółek można jeszcze znaleźć firmy Murata Manufacturing i Advantest Corp. Wszystko, co związane z AI, cieszy się wysokim popytem, a to może tylko zwiększać ryzyko przegrzania

rynku. Istnieje jeszcze świat poza AI, ale obserwując rynki finansowe, można o tym zapomnieć.

Chipflacja i dezinflacja

Ostatnie dane o inflacji w USA potwierdzają utrzymywanie się wysokiej inflacji, wręcz jej przyspieszanie. Nowy szef FED Kevin Warsh uważał przed nominacją, że AI może działać dezinflacyjnie, co wynika ze zmniejszenia presji na wzrost płac przez zmniejszenie popytu na pracę. Upatruje on w sztucznej inteligencji narzędzia, które pozwoli na obniżanie stóp procentowych w USA. W końcu nikt, kto nie zobowiązałby się do obniżania stóp procentowych, nie miałby szans zostać wybranym przez Donalda Trumpa na szefa banku centralnego (pierwsze wystąpienie Warsha po decyzji o utrzymaniu stóp procentowych zostało jednak odebrane jako jastrzębie i wzrosły oczekiwania na podwyżki stóp).

Innego zdania jest szef FED w Minneapolis Neel Kashkari, który w ogromnych wydatkach inwestycyjnych na budowę centrów danych upatruje ważnego czynnika proinflacyjnego, przez co skłania się do podwyżek stóp procentowych w USA. Nawet on widzi dezinflacyjną rolę AI, ale dopiero w długim okresie. Według niego obecna inflacja w USA nie wynika ze wzrostu płac, ponieważ zmieniła się pozycja negocjacyjna pracowników, lecz z zakłóceń w łańcuchach dostaw.

Zamiast dezinflacji w kontekście AI coraz częściej mowa o chipflacji, czyli wzroście cen w całej gospodarce spowodowanym przez wzrost kosztów komponentów komputerowych. Właściciele centrów danych są w stanie zapłacić każdą cenę za niezbędne komponenty. Niestety, duży popyt oznacza wyższą elastyczność cenową. Przekłada się to na wzrost cen komputerów, smartfonów i pozostałej elektroniki, która nie ma nic wspólnego z AI. Dowodów na to dostarczyła firma Apple, która pod koniec czerwca wprowadziła nowy cenik urządzeń zawierający podwyżki sięgające nawet ponad 20 proc. Podwyżki cen konsol Xbox zapowiedział też Microsoft. Głównym winowajcą jest szybki wzrost cen kości pamięci.

Obserwowany jest wzrost zapotrzebowania na energię, a co za tym idzie – jej cen. Dotyczy to szczególnie amerykańskich konsumentów mieszkających w pobliżu dużych centrów danych.

Decyzje pojedynczych firm mają przełożenie na zagregowane wydatki inwestycyjne, wysokość stóp procentowych, a nawet tempo wzrostu gospodarczego w największych krajach. Tym samym wśród Amerykanów narasta opinia, że AI może pozbawić ich pracy, a jednocześnie sprawia, że wszystko staje się droższe. ©

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu



KONKURS DZIENNIKA GAZETY PRAWNEJ

ORGANIZATOR

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

PATRONAT HONOROWY

 Marcin Kulasek
Minister Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

PARTNER PROJEKTU

 KGHM
POLSKA MIEDŹ

PARTNER GALI

 JWP
RZECZNIICY PATENTOWI

PATRONAT

 PAN
POLSKA AKADEMIA NAUK

 URZĄD PATENTOWY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

 NCBR
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

 Innovations Hub
Foundation

 Youth Business
Poland

Finał konkursu Eureka! DGP – Odkrywamy polskie wynalazki. Oto finaliści

Polskim naukowcom nie brakuje innowacyjnych pomysłów, ale wciąż niewiele z nich trafia na rynek. Promocja nauki oraz wynalazków jest celem konkursu Eureka! DGP – Odkrywamy polskie wynalazki. Dobiegła końca jego XIII edycja. Laureatów konkursu uhonorowano podczas gali zorganizowanej w siedzibie redakcji DGP



Krzysztof

Ratniczyn

Pierwsze miejsce w konkursie Eureka! DGP – Odkrywamy polskie wynalazki zdobył Uniwersytet Jagielloński za opracowanie sposobu otrzymywania autologicznych komórek AT-MSCs. Chodzi o nową, zoptymalizowaną metodę otrzymywania ludzkich mezenchymalnych komórek macierzystych z tkanki tłuszczowej (AT-MSCs) pacjenta dla celów ich zastosowania w medycynie regeneracyjnej. To komórki o wyjątkowych właściwościach proregeneracyjnych, dzięki czemu mogą wspierać odbudowę tkanek, łagodzić stany zapalne i stymulować procesy gojenia. W imieniu zespołu nagrodę odebrały dr Anna Łabędź-Masłowska oraz dr Klaudia Polakowska. – Od kilku lat rozwijamy technologie oparte na mezenchymalnych komórkach macierzystych i ich pochodnych. Zakończyliśmy już pierwszą i drugą fazę badań klinicznych jednego z produktów i potwierdziliśmy jego bezpieczeństwo. Teraz rozwijamy kolejne produkty lecznicze – powiedziała Łabędź-Masłowska.

Drugą nagrodę otrzymała Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa za sterownik silników dla nanosatelitów wykorzystujących nadtlenek wodoru jako materiał pędny. Nagrodę odebrał inż. Mateusz Rusak, który podkreślił, że rozwiązanie ma za sobą pierwszy egzamin. – Nasz sterownik pracuje już w przestrzeni kosmicznej. Dzięki temu zdobyliśmy flight heritage, czyli potwierdzenie działania technologii w warunkach orbitalnych. To dopiero początek naszej drogi do budowy kolejnych systemów dla sektora kosmicznego – stwierdził.

Trzecie miejsce zajęło konsorcjum jednostek Sieci Badawczej Łukasiewicz, które opracowało technologię wykorzystania materiału z wyeksploatowanych łopat turbin wiatrowych do produkcji kompozytów. Chodzi o rozwiązanie problemu zagospodarowania łopat po zakończeniu ich eksploatacji.

Kapituła przyznała również dwa wyróżnienia. Otrzymały je Politechnika Śląska za cienkowarstwowe ogniwa słoneczne oraz Uniwersytet Zielonogórski za innowacyjną ortezę do rehabilitacji kończyn górnych.

Nowe pokolenie

Po raz pierwszy przyznano Nagrodę Specjalną Nowe Pokolenie Innowatorów, przeznaczoną dla liderów projektów, którzy nie ukończyli 35. roku życia. Otrzymał ją dr hab. inż. Mariusz Sandomierski, prof. Politechniki Poznańskiej, za technologię tytanowych implantów z warstwą umożliwiającą miejscowe uwalnianie antybiotyków. Może ona ograniczyć ryzyko zakażeń po wszczepieniu implantów ortopedycznych i stomatologicznych oraz zmniejszyć konieczność stosowania antybiotyków ogólnoustrojowych.

Gala była również okazją do dyskusji o nauce, innowacjach, szansach i wyzwaniach. W otwierającym uroczystości wystąpieniu dr n. med. Anna Czarnecka, ekspertka strategiczna w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, podkreśliła, że Polska nie ma problemu z tworzeniem innowacyjnych rozwiązań. Największym wyzwaniem pozostaje ich rozwój i wdrożenie. Zauważyła też, że konkurs Eureka! DGP – Odkrywamy polskie wynalazki wyróżnia projekty mające praktyczny potencjał gospodarczy, a jednocześnie daje

naukowcom większą rozpoznawalność wśród inwestorów i przedsiębiorców.

Co z patentowaniem?

Wyzwaniom związanym z komercjalizacją wyników badań został poświęcony panel dyskusyjny. Uczestnicy zgodnie oceniali, że jednym z problemów polskiego systemu innowacji pozostaje traktowanie patentu jako celu samego w sobie. Zdaniem Doroty Rzażewskiej, krajowego i europejskiego rzecznika patentowego w JWP Rzecznicy Patentowi, ochrona własności intelektualnej powinna być elementem przemyślanej strategii biznesowej, a nie jedynie sposobem na zwiększenie dorobku naukowego. Zwróciła uwagę na to, że w wielu przypadkach skuteczniejszą formą ochrony może być zachowanie know-how niż zgłoszenie patentowe.

Podobne stanowisko prezentował Michał Doligalski, dyrektor Departamentu Innowacji i Rozwoju Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego – samo zwiększanie liczby zgłoszeń patentowych nie przekłada się automatycznie na rozwój gospodarki. Paweł Płatek, naczelnik Wydziału Transferu Wiedzy w Departamencie Innowacji Urzędu Patentowego RP, zwrócił uwagę na to, że skuteczna ochrona własności intelektualnej wymaga budowania całego portfela praw, a nie pojedynczych patentów. Przypomniał również, że jednym z najczęstszych popełnianych błędów jest zbyt wczesne publikowanie wyników badań, co zamyka drogę do uzyskania ochrony patentowej.

Konkurs odbył się pod patronatem honorowym Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, NCBiR, PAN, Urzędu Patentowego RP, Innovation Hub Foundation oraz Youth Business Poland. Partnerem gali było JWP Rzecznicy Patentowi. Partnerem projektu był KGHM Polska Miedź S.A. ©

Jak wyłoniono laureatów

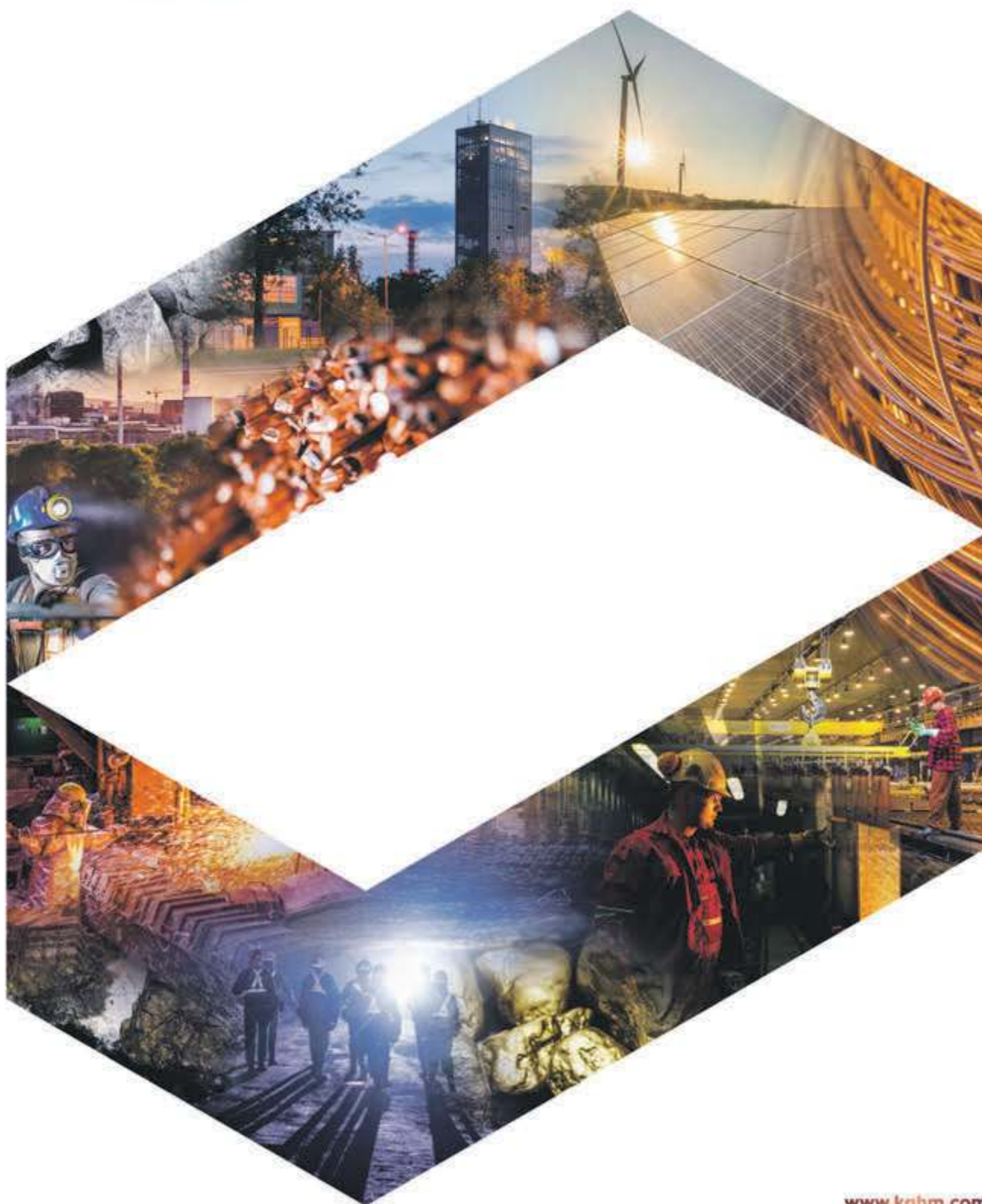
Zgłoszenia do konkursu zostały zwerifikowane pod względem formalnym przez organizatora, a następnie ocenione merytorycznie przez komisję złożoną z przedstawicieli partnerów konkursu. Do finału trafiło 20 najwyżej ocenionych projektów, spośród których kapituła wybrała laureatów. W skład kapituły weszli m.in. przedstawiciele środowiska naukowego, partnerów merytorycznych i medialnych oraz redakcji DGP. Do XIII edycji można było zgłaszać rozwiązania opatentowane lub zgłoszone do Urzędu Patentowego Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2023–2024. ©

REKLAMA



INNOWACYJNY ŚWIAT WYRASTA Z MIEDZI

Od 65 lat rozwijamy polskie górnictwo,
łącząc tradycję z nowoczesnością,
czerpiąc siłę z miedzi, srebra
i doświadczenia naszych ludzi.
To dzięki nim historia i przyszłość należą
do nas.

www.kghm.com

Historia

Chiński plan Marshalla

Wciąż pozostaje zagadką, dlaczego Stany Zjednoczone blokowały dostawy broni dla wojsk Czang Kaj-szeka i ułatwiły drogę do władzy chińskim komunistom

General George Marshall
z generalissimusem Czang
Kaj-szekiem i jego żoną Soong
Meiling w Nankinie

Andrzej

Krajewski

Globalna pozycja Stanów Zjednoczonych słabnie, a rolę najpotężniejszego mocarstwa świata chcą zająć Chińczycy. Trudno uwierzyć, że zaledwie 80 lat temu w sercu Państwa Środka stacjonował korpus marines, zaś wysłannik prezydenta USA przesądził o wyniku toczącej się tam wojny domowej.

„Po zwycięstwie aliantów nad Japończykami w II wojnie światowej duży kontyngent japońskich sił pozostał w północnych Chinach. W 1945 r. Naczelny Dowódca Pacyfiku, admirał floty Chester W. Nimitz, nakazał III Korpusowi Amfibii (III AC) Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych wylądować w pobliżu Szanghaju, przyjąć kapitulację wojsk japońskich w imieniu chińskiego rządu i nadzorować ich repatriację” – pisze w monografii „Taming the Red Dragon: Peace Operations in North China” Robert L. Burton.



FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Misja o kryptonimie „Operacja Be-leaguer” rozpoczęła się 30 września 1945 r. O świcie okręty USA dopłynęły do portu Tangku i wysadziły żołnierzy i. Dywizji Piechoty Morskiej (wchodzącej w skład III AC), którzy szybko przejęli kontrolę nad Tiencinem (Tianjin) i ustanowili tam swoją bazę. Wkrótce do pomocy przybyły kolejne jednostki, łącznie ok. 50 tys. osób.

Po ogłoszeniu kapitulacji japońskie wojska nie stawiały oporu. Jeńców osadzono w obozach, a następnie odesłano do domów. Operacja przebiegła sprawnie. O wiele więcej kłopotów sprawiała wojna domowa. Od 1927 r. nacjonaści z Kuomintangu (KMT) walczyli z Komunistyczną Partią Chin (KPCh). Z powodu próby podboju Państwa Środka przez Japonię na początku lat 30. konflikt został zamrożony, bo obie strony skoncentrowały się na działaniach przeciwko wspólnemu wrogowi. Po kapitulacji Tokio wojna domowa rozgorzała na nowo z jeszcze większą siłą. Komuniści pod wodzą Mao Zedonga mogli liczyć na hojne wsparcie Związku Radzieckiego. Józef Stalin chciał uczynić go swoim wasalem i ustanowić w Państwie Środka komunistyczną dyktaturę. „Od sierpnia 1945 roku komuniści Mao Zedonga rozpoczęli przemieszczanie swych najlepszych oddziałów na teren Mandżurii. Ta ostatnia w konsekwencji tajnych układów z Jałty (ich potwierdzenie wobec Rosjan Amerykanie wymusili na Chińczykach 14 sierpnia) znajdowała się pod okupacją Armii Sowieckiej” – pisze w opracowaniu „Mediator. Nowe spojrzenie na chińską misję generała George’a C. Marshalla” Jakub Polit.

Dla stojącego na czele Kuomintangu Czang Kaj-szeka był to sygnał, że musi uderzyć, zanim wróg stanie się zbyt potężny. Miał nadzieję, że jako wierny sojusznik USA otrzyma wsparcie ze strony korpusu marines, który przesądzi o szybkiej klęsce komunistów. Przywódcę Kuomintangu spotkało jednak olbrzymie rozczarowanie. „W sierpniu 1945 r. dowództwo sił zbrojnych USA w chińskim teatrze działań wojennych wydało dyrektywę: «dołożyć wszelkich starań, by uniknąć udziału w jakimkolwiek bratobójczym konflikcie w Chinach». W dokumencie Departamentu Stanu USA «Polityka USA wobec Chin», wydanym w grudniu 1945 roku, stwierdzono również, że «wsparcie USA nie obejmuje interwencji wojskowej mającej na celu wpłynięcie na przebieg jakichkolwiek wewnętrznych konfliktów w Chinach»” – relacjonuje Robert L. Burton. O ile Stany Zjednoczone postanowiły nie angażować się w działania zbrojne, o tyle nie zamierzały trzymać się z dala od konfliktu.

Specjalny wysłannik prezydenta

W listopadzie 1945 r. prezydent Harry Truman zwrócił się do gen. George’a C. Marshalla, który właśnie zakończył pełnienie funkcji szefa sztabu armii USA, o mediację w Państwie Środka. Jak zauważa Jakub Polit, Amerykanie chcieli uniknąć uwikłania się w wewnętrzne sprawy kraju w czasie II wojny światowej

wej kreowanego na wielkie mocarstwo i bliskiego sojusznika. Choć Chiny były zrujnowane, a ich militarny potencjał prezentował się żałośnie, na arenie międzynarodowej Czang Kaj-szek odnosił sukcesy. Dzięki protekcji Waszyngtonu jako przywódca Państwa Środka uczestniczył w procesie powoływania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przy okazji wywalczył dla Chin status stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ. Miał więc prawo zakładać, że gen. Marshall pomoże mu wygrać wojnę domową. Tym bardziej że wysłannik Białego Domu był jednym z nielicznych wysoko postawionych polityków i generałów, którzy orientowali się w problemach Państwa Środka. W latach 1924–1927 jako młody oficer dowodził on 15. Pułkiem Piechoty stacjonującym w Tianjinie. „Był to okres szczytowego zamętu w Państwie Środka, znanego jako «doba warlordów». Oficer wojsk kolonialnych czuł się w tym egzotycznym świecie jak król («w Chinach można żyć niczym książę krwi, mając żołd podporucznika»), ale wyniósł z niego przekonanie, że Chiny oznaczają chaos, a cele zmagających się o władzę przywódców są tak samo cyniczne i bezideowe” – relacjonuje Jakub Polit. Podobno Marshall był tak pewien swojej wiedzy o Państwie Środka, że przed odlotem zarządził, by doręczane mu materiały informacyjne nie przekraczały jednej kartki maszynopisu.

Amerykański generał mógł wyrzucić presję na komunistycznych rebeliantów, wysyłając przeciwko nim 50-tysięczny korpus marines. Ale ostateczne zwycięstwo Kuomintangu nie było celem Marshalla. Jego strategia zakładała wycofanie pomocy gospodarczej dla Czang Kaj-szeka w celu zmuszenia go do negocjacji z komunistami.

Grillowanie sojusznika

„Współpracownicy Czanga uważali, że jeśli już potrzebowaliby jakiegoś pośrednika, najlepszym byłby Stalin” – podkreśla Polit. Przywódca ZSRR jako jedyny mógłby przywołać Mao do porządku, a nawet skazać go na klęskę. Jednak Czang Kaj-szek nie zdobył się na odwagę, żeby za plecami Amerykanów próbować dogadać się z Moskwą. Był coraz bardziej uzależniony od dostaw broni i subsydiów USA. Dlatego 13 stycznia 1946 r., nieco ponad miesiąc po przybyciu Marshalla, nacjonaści i komuniści uzgodnili zawieszenie broni. Dla Mao Zedonga był to najlepszy noworoczny prezent: dawał czas stacjonującej w Mandżurii armii na dozbrojenie się i ćwiczenia. „Postawę Marshalla tłumaczono potem jego nieuleczalną naiwnością – pisze Polit. Jedyną osobą, której słuchał wysłannik Białego Domu, był Zhou Enlai. Ten ostatni płynnie mówił po angielsku, dzięki czemu nawiązał znakomite relacje z amerykańskim generałem. Gorzej układały się jego stosunki z Kuomintangiem, a zwłaszcza z Czang Kaj-szekiem.

Wysłannik prezydenta Trumana zaczął wspierać nieliczące się na chińskiej scenie politycznej partie centrowe. Sprawiało to wrażenie, jakby szukał alternatywy dla skonfliktowanych obo-

zów. Naciskał na przeprowadzenie wyborów do konstytuancy, która opracowałaby ustawę zasadniczą i ustanowiła w Państwie Środka demokrację wzorowaną na zachodniej.

11 marca 1946 r. Marshall nagle wyjechał z Chin. Departament Stanu poinformował, że musiał się zająć w Waszyngtonie ważnymi umowami handlowymi. Nikt nie potrafił odgadnąć, do czego był w tej sprawie niezbędny wieloletni szef sztabu armii. Generał opuszczał Chiny w otoczeniu triumfatora, który zaprowadził sprawiedliwy pokój. Zbiegło się to z wycofaniem większości sił ZSRR z Mandżurii. Stalin pozostawił jednak dwa potężne garnizony w Harbinie i Dalianie, które nadzorowały strategiczne szlaki kolejowe w regionie. Korpus marines przejął zaś kontrolę nad linią kolejową łączącą północne Chiny z Mandżurią. „Linia Pekin–Mukden zapewniała najbezpieczniejszą i jedyną drogę lądową dla działań nacjonalistów w Mandżurii. Nie mogli przedostać się do Mandżurii przez porty z powodu ich blokady przed Związek Radziecki i chińskich komunistów” – pisze Robert L. Burton.

Wiosną 1946 r. dostęp do szlaków komunikacyjnych kluczowych dla zdobycia przewagi w wojnie kontrolowały więc Stany Zjednoczone i ZSRR. Bez nich wojska Czang Kaj-szeka nie mogły odbić Mandżurii, a siły Mao Zedonga pokonać Kuomintangu.

Rozgniewany protektor

Czang Kaj-szek uznał, że wyjazd Marshalla i odwrót Armii Radzieckiej stwarzają okazję, której nie można zmarnować. Nie miał złudzeń, że Mao uderzy, więc zaatakował pierwszy. Przerzucił doborowe oddziały do Mandżurii i zmusił komunistyczne wojska do odwrotu w stronę granicy ZSRR. Ostateczna wygrana wydawała się na wyciągnięcie ręki. „Z mandżurskiej Dunkierki wyciągnął jednak Mao powracający generał Marshall” – pisze Jakub Polit.

Jeszcze w drodze do Chin wysłannik prezydenta Trumana wysłał Czang Kaj-szekowi depeszę, która brzmiała jak ultimatum. Zarzucił mu, że torpeduje proces pokojowy i naraża na szwank jego reputację jako uczciwego negocjatora. „Dlatego proszę Pana po raz kolejny o natychmiastowe wydanie rozkazu wstrzymującego natarcie, ataki lub pościg przez wojska rządowe” – zażądał Amerykanin. Mógł liczyć na wsparcie prezydenta. W wygłoszonym 10 sierpnia 1946 r. orędziu Truman zwrócił się do przywódcy Kuomintangu słowami: „Jeśli wkrótce nie pojawi się przekonujący dowód na to, że dokonano znaczącego postępu w rozwiązywaniu wewnętrznych problemów Chin, należy oczekiwać, że amerykańska opinia publiczna przestanie być tak wielkoduszna wobec pańskiego narodu”.

Tydzień później administracja wstrzymała dostawy broni i amunicji dla Państwa Środka. Jakub Polit tłumaczy, że był to jeden z decydujących powodów klęski armii Kuomintangu. „Wbrew pokutującemu do dziś stereoty-

pom, nie była ona ani lepiej uzbrojona, ani nawet znacząco liczniejsza od armii komunistycznej – podkreśla historyk, dodając, że najnowocześniejsze oddziały nacjonalistów bazowały na amerykańskim sprzęcie. Poza tym marines wciąż kontrolowali kluczowy szlak komunikacyjny. Z takimi argumentami Marshall zmusił Czang Kaj-szeka do zaakceptowania drugiego zawieszenia broni.

Kontrolowane porzucenie

„Czang Kaj-szekowi trzeba pomóc. Wystarczy pomoc w sprzęcie, broni, żywności, surowcach. Jeśli udzielono Anglii kredytów, by wzmocnić szaniec zasłaniający Amerykę od wschodu – trzeba dać materiał Chinom niepodległym, by zasłonić Amerykę od zachodu” – apelował pod koniec lipca 1946 r. na łamach wychodzącego w Londynie „Dziennika Polskiego” Ignacy Matyszewski. Były minister skarbu w II RP i wpływowy członek obozu sanacyjnego trafnie dostrzegał, w jakim kierunku rozwija się sytuacja, ale nic z niej nie rozumiał.

Waszyngton stopniowo osłabiał szanse Kuomintangu na zwycięstwo w wojnie domowej. „Wydawało się, że polityka USA polegała na oczekiwaniu, aż rząd nacjonalistów upadnie przy jednoczesnym zapewnianiu o wsparciu” – ocenił Keith E. Eiler w eseju „Devotion and Dissent: Albert Wedemeyer, George Marshall and China”. Wśród amerykańskich historyków przez lata toczył się spór o to, czy uznawany za wybitnego stratega i polityka George C. Marshall nie dostrzegł, że jego działania otwierają chińskim komunistom drogę do przejęcia władzy. Mowa w końcu o generale, który zainicjował skuteczny plan powstrzymania ekspansji ZSRR w Europie. Wiele źródeł sugeruje, że Marshall nie miał złudzeń co do pokojowych intencji Stalina. Ale w sprawie przyszłości Chin się pomylił.

Gdy w styczniu 1947 r. Harry Truman powierzył generałowi funkcję sekretarza stanu, ten jeszcze mocniej docisnął Czang Kaj-szeka. Jak relacjonuje Jakub Polit, blokował pomoc wojskową, a gdy zdominowany przez republikanów Kongres uchylił embargo, opóźniał dostawy. Przekonywał, że warunkiem zmiany polityki USA jest utworzenie przez Czang Kaj-szeka gabinetu koalicyjnego, mimo że los europejskich partii, które weszły do rządów z komunistami (np. PSL), był już powszechnie znany.

W czerwcu 1949 r. korpus marines i ostatni amerykańscy cywile opuścili Chiny. Kilka miesięcy później Czang Kaj-szek i resztki jego żołnierzy ewakuowali się na Tajwan. Marshall skomentował nadciągającą klęskę sojusznika słowami, które wyrażały skrajny cynizm: „umyłam ręce od problemu, którego rozwiązanie na tym etapie przekracza moje możliwości”. Wciąż pozostaje zagadką, dlaczego generał uważał, że rządzone przez komunistów Chiny są najlepszym rozwiązaniem z punktu widzenia interesów Ameryki. ©©

Pochwała podróży

Przez tysiąclecia zmieniły się metody pokonywania dużych odległości, bezpieczeństwo i wygoda wypraw, a także powody, dla których ruszamy w drogę

Sebastian

Pawlina

Podróżowanie było – i nadal jest – przywilejem. Żeby móc wędrować, trzeba się urodzić w odpowiednim czasie i miejscu, mieć wystarczające środki finansowe i dostęp do dokumentów uprawniających do wyjazdu. Nawet u nas jeszcze kilka dekad temu nie było to oczywistością. Podróżowanie jest też istotnym elementem rozwoju cywilizacyjnego. Dzięki wyjazdom nawiązujemy nowe kontakty, zyskujemy szersze perspektywy. Nie bez przyczyny historyk Antoni Mączak uważał, że podróżowanie odegrało w historii ludzkości rolę równie istotną, co wynalazek Johanna Guttenberga.

Podróż i opowieść

To była wymarzona wyprawa Jana Parandowskiego. Jeździł już wcześniej po świecie. Z rozrzewnieniem wspominał pierwszy wyjazd nad morze, w trakcie którego realizował swoje robinsonowskie tęsknoty, i pierwszą jazdę pociągiem, z której zapamiętał przestrzeń rozpościerającą się po obu stronach torów. Ale teraz miało być inaczej, bardziej intensywnie. Gdy w porcie w Konstantynopolu – to był rok 1925, dopiero za pięć lat miasto stanie się Stambułem – wsiadł na statek mający zawieźć go do Hellady, z emocji nie mógł później zasnąć. „Byłem wypełniony Grecją, jej historią, sztuką, myślą, zdarzały się chwile, że obumarła składnia języka greckiego rozrastała się w mózgu do potęgi jedynie możliwego wyrażania uczuć” – pisał w „Dwóch wiosnach”, reportażu będącym zapisem z tamtej podróży. Rankiem wyszedł na pokład. Przed nim rozpościerało się Morze Egejskie. Z dziecięcą nieomal radością przesunął wzrok po falach, w których mieniło się słońce. Wiele z tego, co wtedy dostrzegł, wpisywało się w obraz żyjący w jego głowie od lat. Zarówno pas o fiołkowym odcieniu, unoszący się hen na widnokręgu „tak jak to widział Homer”, jak i delfiny, „pradawne, opiekuńcze zwierzęta mórz greckich – rumaki srebrnonogich nereid”, jeden po drugim wyskakujące nad wodę.

Jednocześnie z łatwością wyłapywał elementy zaburzające krajobraz znany mu z tego, co Pierre Bayard, francuski literaturoznawca, określił w „Jak mówić o miejscach, w których się nie było” jako podróże gabinetowe, czyli wyprawy wyobraźni podparte lekturami i wiedzą ogólną. Na wybrzeżach mijanych wysp, tam, gdzie kiedyś były osady, pola uprawne i łodzie przycumowane do brzegów i gdzie świątynie jaśniały światłem odbitym od jasnego kamienia, teraz ziała pustka. Każdy z tych widoków był dla Parandowskiego opowieścią. Czasami u jej podstaw stała historia rzeczywista, innym razem mit, a bywało, że zlewały się one w jedno. Jak wtedy, gdy obserwując delfiny, przypomniał sobie starożytną węczę, na której otaczały statek, a na nim w cieniu winorośli odpoczywał Dionizos.

Ale opowieścią jest też samo podróżowanie. Wystarczy powiedzieć, że to, które znamy z naszych osobistych doświadczeń, bazujące na ciekawości świata oraz szukaniu odpoczynku od codzienności, potrzebowało kilku tysięcy lat, aby mogło stać się doświadczeniem masowym oraz... przyjemnym.

Jak wędrować?

Do drogi trzeba się przygotować. Pakując walizki, kompletując niezbędne dokumenty – dowody osobiste, paszporty, wizy, zaświadczenia o szczepieniach – oraz zaopatrując się w waluty kraju, do którego zmierzamy, nie mamy zazwyczaj świadomości, że wiele z tych elementów w jakiejś formie znali nasi przodkowie. Niejedno z rozwiązań, którymi się posługujemy, jest odpowiedzią na problemy, z którymi oni się mierzyli. Dotyczy to też rzeczy tak podstawowej jak to, czym – i po czym – podróżujemy.

Pierwsi ludzie wędrowali na piechotę. Przeciętne tempo marszu wynosi około 5 km/godz. Jeśli uwzględnimy dodatkowo, że musieli oni nosić ze sobą cały dobytek oraz uważać na słabszych przedstawicieli grupy – dzieci, starców, kobiety w ciąży, chorych, rannych – to z łatwością zrozumimy, że te pierwsze wyprawy nie mogły być dalekie. Sytuację zmieniło udomowienie takich zwierząt jak konie czy osły. Usprawniło to trans-



port ciężkich przedmiotów, a i przynajmniej dla części ludzi oznaczało, że nie musieli już całej trasy pokonywać na własnych nogach.

Jeszcze większym przełomem stało się wynalezienie koła i będące jego następstwem powstanie pierwszych wozów. Według francuskiego archeologa Lionela Cassona, autora „Podróży w starożytnym świecie”, pierwsze znane konstrukcje tego typu budowali Sumerowie. Były to furgony wyglądające jak pudła osadzone na czterech dużych kołach. Zazwyczaj zaprzęganym do nich woły albo kułany perskie, większych kuzynów osła zwyczajnego. Kolejne wersje wozów, takie jak karety czy dyliżanse, do XIX w. w wielu miejscach na świecie były najszybszymi środkami transportu lądowego. Dopiero pojawienie się pociągów i samo-

chodów odebrało im – choć nie wszędzie – palmę pierwszeństwa.

Aż do XX w. najsprawniej podróżowało się drogą morską albo rzeczną. Nie jest przypadkiem, że pierwsze wielkie cywilizacje są związane z wodą. Zapasy żywności niezbędne do rozwoju społeczeństw w Mezopotamii i Egipcie mogły się powiększać dzięki polom uprawnym regularnie nawadnianym przez Tygrys, Eufrat i Nil. Mniejsze, ale również istotne znaczenie miało to, że po nich i wzdłuż ich brzegów przebiegały ciągi komunikacyjne zapewniające łączność między ośrodkami miejskimi, handlowymi czy świątyniami. Wraz z powstaniem statków zdolnych pływać po otwartych wodach Morze Śródziemne, a po nim kolejne akweny, stały się autostradą dla setek łodzi umożliwia-

Podróżowanie bazujące na ciekawości świata oraz szukaniu odpoczynku od codzienności potrzebowało kilku tysięcy lat, aby mogło się stać doświadczeniem masowym oraz... przyjemnym



FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Obraz Augustusa Leopolda
Egga „Towarzyszki podróży”
(1862)

jących wymianę handlową, polityczną, kulturową.

Te i kolejne rewolucyjne środki transportu – pociągi, samochody, samoloty – miały jedną wspólną cechę: początkowo dostęp do nich był możliwy jedynie dla nielicznych – dysponujących odpowiednimi zasobami finansowymi. Skracanie czasu niezbędnego do pokonania dużych odległości stało się więc nie tylko jednym z kluczowych elementów naszego rozwoju, lecz także wyznacznikiem statusu społecznego.

Droga do władzy

W czasach starożytnych wyzwaniem było samo znalezienie drogi łączącej dwa oddzielne punkty. Na przeszkodzie stały ukształtowanie terenu, bezkresne niezamieszkane obszary, na których próżno było szukać dogodnego miejsca na odpoczynek, nie mówiąc o pomocy, gdyby doszło do wypadku czy napadu, a nawet pogoda.

Około 1830 r. p.n.e. pewien egipski urzędnik wykonujący polecenie faraona udał się na półwysep Synaj.

W trakcie wyprawy, jak informuje nas Casson, przeszedł przez pustynię. W relacji pozostawionej w formie inskrypcji wyrytej w kamieniu opowiadał, że pora, w której ruszył w drogę, była nieodpowiednia, „ziemia [bowiem] płonęła żarem, na pogórzach było lato, a góry wypalały piętno na pokrytej pęcherzami skórze”. W Grecji obok palącego słońca problem stanowiły wąskie ścieżki, po których mógł się poruszać niekiedy wyłącznie człowiek. Ale nawet jeśli dało się jechać po nich wozami, to zdarzało się, że wymijanie się na trasie stwarzało problemy. Według Cassona właśnie takie sytuacje leżały u podstaw mitu o Edypie, który zabił ojca podczas sprzeczki o to, kto komu ma ustąpić pierwszeństwa na drodze.

Tam, gdzie było to możliwe, budowano wygodne drogi, a wzdłuż nich osiedla i zajazdy, dzięki którym podróże stawały się bezpieczniejsze. Żyjący na początku trzeciego tysiąclecia p.n.e. sumeryjski król Szulgi w hymnie na swoją cześć polecił napisać: „Poszerzyłem ścieżki dla pieszych, wyprostowałem szosy kraju/ Podróż uczyniłem bezpieczną, zbudowałem tam «wielkie domy»/ Założyłem przy nich ogrody, urządziłem miejsca wypoczynku/ Osiedliłem tam przyjaznych ludzi/ (Po to, by) ten, kto przybędzie z dołu, kto przybędzie z góry/ Mógł odświeżyć się w chłodzie/ By wędrowiec, który podróżuje szosą w nocy/ Mógł tam znaleźć schronienie jak w porządnie zbudowanym mieście”. Casson przywołuje też starożytny opis drogi prowadzącej przez Beocję, krainę znajdującą się w centrum starożytnej Grecji. Wśród zalet poszczególnych odcinków wymieniano tam zajazdy oferujące podróżnym odpoczynek i wyżywienie, brak rozbójników czy w końcu dogodne ukształtowanie terenu. Najbardziej chwalono ostatni fragment trasy, biegnący polami, gdzie swobodnie można było korzystać z pojazdów. Kilka tysięcy lat później stworzenie drogi zwiększającej ludziom możliwość wędrowania dalej jest powodem do dumy i podkreślenia swojego znaczenia. Różnica polega na tym, że kiedyś pisano o tym poematy, a dzisiaj w świetle kamer przecina się wstęgi.

Cezar i piraci

Najlepsza nawet droga nie chroniła przed wszystkimi niebezpieczeństwami czyhającymi na podróżników. Jeśli nie zbudowano jej z kamienia albo innego odpornego na wilgoć materiału, to po obfitych opadach deszczu albo w wyniku roztopów po śnieżnej zimie stawała się pułapką. Konie z trudem podnosiły na niej nogi, piechur mógł mieć jedynie nadzieję, że zanim błoto przyklepią się do jego ubrania stwardnieje, będzie mógł się umyć, zaś karety i kolaski zapadały się i żeby je wydostać, potrzebna była nie mała siła.

Ale pogoda nie była największym problemem. Po lasach i w jaskiniach zasadzali się na wędrowców bandyci. Od starożytności do powstania nowoczesnych państw w XIX w. najbezpieczniejszymi miejscami na mapach były miasta. W zasadzie każde większe posiadało swoje siły porządkowe. Poza murami znajdowała się de facto ziemia niczyja. Kto mógł, wędrował w większej grupie, co dawało możliwość skuteczniejszej obrony. Za nieostrożność płacono się wysoką cenę.

Istną plagą starożytnego świata byli piraci. Prym wśród nich wiodli ci pochodzący z Cylicji, nadmorskiej krainy w Azji Mniejszej, z wybrzeżem usianym zatoczkami i jaskiniami idealnymi do ukrycia się przed pościgiem. Regularnie napadali na nadbrzeżne miasta i świątynie, łupiąc je. Ale największe bogactwo przynosiło im niewolnictwo. Porywali ludzi nie tylko z miast, lecz także podróżników, którzy mieli nieszczęście się na nich natknąć.

Takim pechowcem okazał się Juliusz Cezar, wtedy zaledwie 25-letni, wzięty do niewoli wraz z grupą towarzyszy podczas rejsu. Piraci szybko się zorientowali, że pojмали kogoś znacznego. Zaproponowali, że uwolnią go za 20 talentów srebra. Cezar oburzył się, że wycenili go za nisko, i odparł, że sam da im 50 talentów, co równało się 1,6 tys. kg srebra. Piraci wypuścili więc jego przyjaciół, którzy mieli zebrać umówiony okup. Po 38 dniach umowa została zrealizowana i przyszedł pogromca Galów i rzymskiej Republiki odzyskał wolność. Szybko się jednak zemścił. Dopadł porywaczy i skazał ich na śmierć.

Piątak od konsula

W 1582 r. książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, zwany Sierotką, jeden z najbogatszych ludzi ówczesnej Europy, ruszył wraz z kilkoma sługami na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Po dwóch latach, wracając do Polski, został wraz z towarzyszami napadnięty niedaleko włoskiej Pescary. Bandyci nie tylko ich nie zabili, lecz nawet nie pozbawili całego majątku. Dzięki umiejętnościom dyplomatycznym Radziwiłł zostawił im 10 cekinów, czyli złotych włoskich monet, oraz dyplom pielgrzyma, który „Sierotka” otrzymał od mnichów w Jerozolimie.

Najcenniejszy skarb ocalał przez przypadek. W niewielkiej szkatułce, którą przestępcy zlekceważyli przez jej niewielką wagę, wędrowcy trzymali listy kredytowe. Te – jak w „Życiu codziennym w podróżach po Europie w XVI i XVII wieku” przypuszczał Antoni Mączak – wystawili księżu Włosi żyjący w Krakowie. Dzięki temu Radziwiłł dysponował nad Morzem Śródziemnym nieograniczoną zdolnością kredytową.

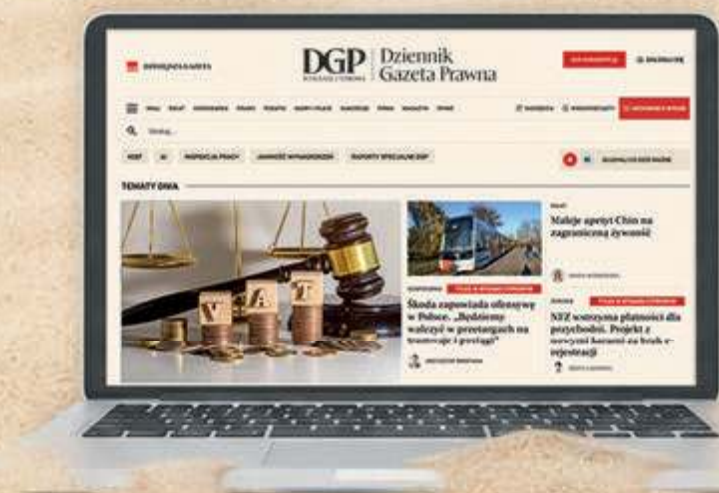
Podobne dokumenty, pełniące rolę znanych nam czeków, stanowiły istotne ułatwienie dla wędrowców. Dzięki nim nie musieli dźwigać dużych ilości pieniędzy, które nie tylko mogły zostać zrabowane, lecz także często niemało ważyły. Problem ten był szczególnie dotkliwy w starożytności. Słabiej rozbudowane sieci społeczne i instytucjonalne zmuszały w Mezopotamii, Egipcie, Grecji czy Rzymie wiele osób do noszenia ze sobą, jeśli nie wszystkich posiadanych środków, to dużej ich części. Ci bogatsi i mający kontakty w trakcie wypraw zatrzymywali się u znajomych, co zmniejszało koszty utrzymania w podróży. A jeśli ktoś musiał zabrać ze sobą coś cennego, mógł zostawić to w depozycie w świątyni.

Gdy w międzywojniu Parandowski odwiedził po raz pierwszy Grecję, było już łatwiej. Poczta pozwalała na przysyłanie pieniędzy na duże odległości. Skorzystał z tego Patrick Leigh Fermor, jeden z najsłynniejszych XX-wiecznych brytyjskich podróżników, gdy w 1933 r. ruszył na wędrowkę po Europie. Mając zaledwie 18 lat, nie posiadał własnych pieniędzy, za które mógłby się utrzymać w trasie. Pomocną dłoń wyciągnął do niego jeden z jego nauczycieli, który obiecał przysłać mu co miesiąc cztery funty na ad- ➤

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Zmiany w prawie nie idą na urlop



3 miesiące dostępu w wakacyjnej cenie



Skorzystaj:
dgp.pl/subskrypcja

resy miejsc, które Patrick planował odwiedzić, idąc pieszo aż do Konstantynopola. Wówczas był to już Stambuł, ale Fermor nigdy nie używał tej nazwy.

Rozwiązanie zdawało egzamin do momentu, gdy krótko po odebraniu jednego z kolejnych przekazów pocztowych Paddy, jak nazywali go przyjaciele, został okradziony. Poza pieniędzmi stracił również plecak z ubraniami, książkami i notesem z zapiskami z podróży oraz paszport. To ostatnie martwiło go szczególnie. Bez dokumentów mógł zgodnie z prawem zostać wydany z Niemiec, w których przebywał. Z pomocą przyszedł policjant z lokalnego posterunku, który poza przyjęciem zgłoszenia o przestępstwie zawiadził go tramwajem do brytyjskiego konsulatu.

Tam Fermor od ręki dostał nowy paszport. Konsul zainteresował się również tym, za co młody Brytyczyk ma zamiar przeżyć najbliższy miesiąc. Fermor odparł, że będzie szukał dorywczych prac. W odpowiedzi usłyszał: „No dobrze! Rząd jego królewskiej mości pożycz ci piąta. Odeślesz, kiedy będziesz mniej splukany”. I Paddy odesłał pieniądze – niecały rok później z Konstantynopola.

Scena historii

„Leży ten paszport teraz przede mną, wyblakły, podarty, z oślimi uszami i zaplamiony, wypełniony wizami zaginionych królestw oraz pieczęciami wjazdowymi i wyjazdowymi w alfabecie łacińskim, greckim i cyrylicy” – pisał po latach w „Czasie drogi”, pierwszej części swojej nieukończonej nigdy podróżniczej trylogii. Za młodu długo nie wiedział, co chce robić. Dopiero w wędrówkach po świecie odnalazł sens. Ten sam, który w wyprawie do Grecji widział Jan Parandowski, a więc oparty na poszukiwaniu miejsc, historii i legend, które wcześniej znał jedynie z książek i opowieści. Tak jak wtedy, gdy wszedł na poddasze wysokiej na ponad 160 m wieży katedry w Ulm (wśród kościołów wyższa jest na świecie jedynie barcelońska Sagrada Família, i to dopiero od tego roku). Stojąc tam w mroźny zimowy dzień 1934 r., Fermor patrzył w dal, widząc więcej niż tylko dachy domów i pola pokryte śniegiem.

„Widok zdumiewał. Niewielki obszar Europy Środkowej był sceną tak wielkiej historii. Za którym wodnym działem poślizgnęły się słonie Hannibala podczas schodzenia w dół? Zaledwie kilka mil stąd przebiegała granica cesarstwa rzymskiego. Właśnie w tych lasach, które rzeka odbija przez tak wiele dni marszu, że trudno byłoby je zliczyć, germańskie plemiona, nemijs Rzymu, czekały, aż wybije ich godzina” – zachwycał się. Oczami wyobraźni widział Hunów, wojska Karola Wielkiego, ród Hohenstaufów, wojnę trzydziestoletnią, a w głowie miał wersy Horacego, którego tomik zabrał ze sobą z Londynu. Wędrówka była dla niego sposobem na dotarcie do źródeł cywilizacji, do jej przełomów.

Po co jednak ludzie w ogóle ruszali się z domów, skoro tyle z tym zamie-

szania, a i zginąć można? Od kiedy powstały pierwsze państwa, wędrówki zarezerwowane były dla handlarzy, żołnierzy oraz urzędników wypełniających wolę władców. Przeciętny człowiek nie miał po co przekraczać granic miasta czy osady, w której żył. Brakowało mu wszystkiego – celu, środków finansowych, a niekiedy po prostu nie wolno mu było opuszczać miejsca zamieszkania. No i nieznaną świat mógł się wydawać straszny miejscem. Z czasem ci, którzy już podróżowali, zaczęli tworzyć więzi między państwami, miastami i różnymi kulturami. Pokazywali innym, że mogą opuścić swoje domy i ruszyć przed siebie.

To działało też w drugą stronę. Ludzie uczyli się przyjmować wędrowców, a tym samym akceptować innego. Paddy Fermor w trakcie swojej pierwszej wędrówki na pytanie, kim jest, często odpowiadał, że studentem. I choć nie było to prawdą, to zgodnie ze starymi zwyczajami otwierało to przed nim wiele drzwi, za którymi dostawał za darmo jedzenie i nocleg.

Dużą rolę w powiększaniu grona podróżników odegrała religia. Świątynie przyciągały wiernych, którzy chcieli złożyć ofiarę bóstwu, zadać pytanie wyroczni albo popatrzeć na skarby znajdujące się w tych przybytkach, co czyniło z nich protomuzea. Trasy do nich prowadzące stawały się coraz bezpieczniejsze, obudowane zajazdami zapewniającymi podstawowe potrzeby. Do zestawu zachęt dołączyły z czasem starożytne igrzyska, a po nich inne wydarzenia sportowe czy wyjazdy do uzdrowisk. Turystyka religijna i zdrowotna dzięki swojej organizacji tworzyły podwaliny pod wędrowanie, które znamy dzisiaj.

Podróżujmy!

Wyjazdy skupione na samym zwiedzaniu czy odpoczynku długo były przywilejem najbogatszych i dopiero XX w. to zmienił. Choć też nie do końca. Według badań opublikowanych w 2023 r. przez amerykański think-tank Pew Research Center w niektórych krajach na świecie wyjazdy zagraniczne wciąż są rzadkością. Z Indii wyjechało chociaż raz zaledwie 3 proc. mieszkańców, z Indonezji 6 proc., z Nigerii 9 proc., a z Brazylii 11 proc. Na drugim biegunie są kraje kojarzone z najwyższym poziomem życia, takie jak Francja, Wielka Brytania, Kanada, Szwecja czy Holandia, z wynikami powyżej 90 proc. W Polsce jest to 66 proc., niemal tyle samo, co w Japonii. Są oczywiście jeszcze podróże po własnym kraju, ale dostępność tych zagranicznych wiele mówi o możliwościach stojących przed ludźmi.

Jeśli więc możemy, wędrujmy. Najlepiej tak, jak radził Zbigniew Herbert w swojej – a jakże! – „Podróży”: „Jeżeli wybierasz się w podróż niech będzie to podróż długa/ wędrowanie pozornie bez celu błędzenie po omacku/ żebyś nie tylko oczami ale także dotykem poznał szorstkość ziemi/ i abyś całą skórą zmierzył się ze światem”.

©P



Szybko i wiarygodnie

Teraz INFORLEX z Asystentem AI ✨
dla księgowych, kadrowych, biur rachunkowych i JST

Zadaj pytanie...



Nowość

INFORLEX Asystent AI ✨ gwarantuje:

- Szybkie, precyzyjne i praktyczne odpowiedzi
- Odpowiedzi oparte na wiarygodnych źródłach INFORLEX
- Wygodę korzystania bez skomplikowanych promptów



**Umów się
na bezpłatną
prezentację**



FOT. WOJTEK GORSKI

Tak USA budują wielką rezerwę pierwiastków strategicznych

Rafał Woś

Dziś będzie o projekcie „Skarbiec”. Jego cel – jak wszystko u Donalda Trumpa – jest wyjątkowo śmiały. „Skarbiec” („Vault”) ma zabezpieczyć Amerykę i jej sojuszników przed sytuacją, w której wrogie imperia odcinają im dostęp do kluczowych surowców mineralnych. Czy się uda?

Zachód stąpał przez ostatnie dekady po bardzo cienkim lodzie. Czasy kompletnie nieodpowiedzialnej polityki gospodarczej liberałów w stylu Billa Clintona czy Angeli Merkel doprowadziły do tego, że Ameryka oraz Europa uzależniły się od dostaw strategicznych surowców z krajów, które niekoniecznie dobrze Zachodowi życzą. Na Starym Kontynencie znamy to aż za dobrze na przykładzie dekarbonizacji zasilanej gazem od Putina. Ale i Amerykanie wpakowali się przecież w podobną zależność od dostaw kluczowych minerałów i metali ziem rzadkich (REE) z państw takich jak Chiny.

Rządzące Europą niemiecko-brukselskie elity postmerkelowskie wciąż wierzą, że uda im się z tej pułapki wyjść za pomocą zielonej transformacji. Ameryka Trumpa idzie za to zupełnie inną drogą. W lutym republikańska administracja ogłosiła odpalenie projektu „Skarbiec”. Chodzi o stworzenie rezerwy strategicznej kluczowych zasobów mineralnych koniecznych do sprawnego funkcjonowania najbardziej zyskownych dziedzin współczesnej gospodarki: produkcji półprzewodników, rozwoju sztucznej inteligencji oraz technologii obronnych i kosmicznych. Aby utrzymać pozycję lidera, USA potrzebują takich pierwiastków jak miedź, uran, lit oraz REE. Dziś podaż tych ostatnich kontrolowana jest w dużej mierze przez Chiny (i do pewnego stopnia także Rosję). Administracja Trumpa stoi

na stanowisku, że pozostawianie w rękach Pekinu i Moskwy tak potężnego lewara nacisku byłoby mieszkanką skrajnej głupoty i zdrady stanu.

Amerykańska administracja nie zamierza jednak projektu finansować ze środków publicznych. Zwłaszcza że beneficjentem „Skarbca” będzie prywatny biznes z branży nowych technologii (chodzi zarówno o software, jak i hardware), zbrojeniowej czy kosmicznej. Waszyngton chce więc finansować „Skarbiec” ze składek płynących od sektora prywatnego. Trochę na zasadzie sprzedaży polis ubezpieczeniowych na wypadek katastrofalnego ograniczenia rynkowej podaży kluczowych minerałów. Na przykład z powodu zaostrzenia się sytuacji geopolitycznej.

W tym sensie „Skarbiec” będzie zorganizowany zupełnie inaczej niż istniejąca już w Ameryce od kryzysu naftowego lat 70. Strategiczna Rezerwa Paliwowa (SPR). Plan jest taki, by oprócz „Skarbca” na Amerykańskim Banku Rozwoju Eksportu (EXIM), czyli instytucji powołanej do życia prawie sto lat temu w czasach demokracji Franklina D. Roosevelta. W ostatnich latach EXIM był raczej beużytecznym reliktem przeszłości, a w czasach prezydenta Obamy zasłynął z utopienia paru miliardów dolarów w kalifornijskim producencie paneli słonecznych Solyndra, który zbankrutował w 2011 r. Teraz posłużyć ma jako rozrusznik „Skarbca”, dostarczając 10 mld dol. pożyczki na pierwsze inwestycje. Do tego dołączyć mają fundusze prywatne. Amerykanie liczą także na napływ pieniądza z zagranicy. Administracja Trumpa zapowiedziała już, że „Skarbiec” ma służyć także potrzebom sojuszników Ameryki. Ale oczywiście nie za darmo. Czasy prezentów od Wujka Sama już się przecież skończyły. ©

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Polityczne eksperymenty na prawicy

To pierwszy krok na drodze do zrozumienia altprawicy

Ekonomiści określają się na tle innych badaczy społecznych nie tylko przez obszar zainteresowań, lecz także – może nawet przede wszystkim – metodologię. Lubują się w wykorzystywaniu modeli matematycznych oraz rozwijaniu narzędzi statystycznych dostosowanych do trudnego zadania analizowania danych społeczno-gospodarczych. Trudnego, gdyż często nie dysponują danymi uzyskiwanymi w drodze eksperymentu, a zadowolić się muszą tymi, które uda się wyłuskać z obserwacji. Z reguły dalekie są one od stanu pożądanego: brakuje scenariuszy kontrfaktycznych i bezpośredniego wyizolowania wpływu badanego efektu od równocześnie toczących się innych procesów.

Nic dziwnego, że duże zainteresowanie badaczy wzbudzają eksperymenty naturalne – zjawiska losowe stawiające ludzi w niestandardowej sytuacji. Ekonomiści rzucają się na takie przypadki, nawet gdy nie dotyczą one ściśle ich dziedziny. Tak też uczynili Jesus Fernandez-Villaverde (Uniwersytet Pensylwanii) i Carlos Sanz (Bank Hiszpanii), kiedy niespodziewanie, wskutek wewnętrznych sporów, hiszpańska partia Vox nie wystawiła kandydatów w okręgu Teneryfy w wyborach parlamentarnych w 2023 r.

Partia jest uznawana za przedstawicielkę alt-rightu – radykalnej prawicy orientującej się wokół silnie zarysowanych postulatów tożsamościowych, dotyczących imigracji czy globalizacji, i odróżniającej się tym samym od centroprawicy, odwołującej się czy to do klasycznego liberalizmu, czy chrześcijańskiej demokracji. Autorzy określają

te dwie grupy skrótoowo jako RR (Radical Right; radykalna prawica) i CR (Classical Right; tradycyjna prawica).

Jednym z kluczowych obszarów zainteresowania politologów w ostatnich latach jest to, na ile ta nowa prawicowa propozycja ideowa jest rozwinięciem poprzedniego programu, a więc celuje w podobny profil wyborców, a na ile jest to nowa pozycja polityczna, klasyfikowana wspólnie jako prawica jedynie ze względu na uproszczenia terminologiczne, a w rzeczywistości celująca w zupełnie inne grupy społeczne.

Najwiarygodniejszym źródłem informacji na temat poglądów politycznych w społeczeństwie są oczywiście wybory, ale tutaj pojawia się problem – nie wiemy, czy w przypadku braku partii RR jej wyborcy zdecydowaliby się zagłosować na tradycyjną prawicę, czy też np. na partię socjalistyczną. Lukę tę starają się wypełnić badania ankietowe, ale z uwagi na to, że tematy polityczne są dla wielu ludzi niewrażliwe, ich rezultaty uznaje się za mniej wiarygodne.

Hiszpański eksperyment naturalny jest niemal doskonałym remedium na te bolączki. Teneryfa to okręg dość reprezentatywny dla Hiszpanii, z wynikami w okolicy krajowej mediany. Na dodatek ledwie dwa miesiące przed wyborami do Kortezów, na wyspie odbyło się głosowanie lokalne, w którym Vox startowała. Jej nagła absencja pozwala zatem ustalić wpływ tej nieobecności na wyniki innych partii, w efekcie odzyskując rozkład drugich preferencji znacznie bardziej prawdopodobny niż ten będący rezultatem badania ankietowego.

Rezultaty doskonale obrazują pułapkę, w jaką możemy wpaść, opierając się jedynie na ankietach. Mimo że ponad jedna czwarta wyborców Vox oceniła zgodność swoich poglądów z konserwatywną Partią Ludową na nie więcej niż 3 w skali od 0 do 10, ugrupowanie to przejęło według szacunków autorów 83 proc. głosów wyborców Vox na Teneryfie. Nasuwa się tu podobieństwo do ostatnich wyborów prezydenckich w Polsce – w II turze Karolowi Nawrockiemu udało się pozyskać wystarczający do wygranej odsetek wyborców Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna, a więc kandydatów opierających swoją narrację na krytyce partyjnego mainstreamu.

Część wyborców Vox dała jednak argumenty zwolennikom teorii o bardziej fundamentalnej różnicy między RR a CR. Przede wszystkim oddając głosy nieważne, których wzrost o ponad dwie trzecie w porównaniu z poprzednim głosowaniem w znacznej mierze można przypisać nieobecności Vox. Zyskała w pewnym stopniu również lewica: dwóm głównym partiom nieobecność Vox przyniosła odpowiednio 1 i 0,5 pkt proc. więcej. Ostatecznie z analizy wynika, że blok prawicy – Partia Ludowa i Vox – zyskałby dodatkowe 2,21 pkt proc., gdyby to drugie ugrupowanie uczestniczyło w wyborach.

Badanie Fernandez-Villaverde i Sanza nie udziela rozstrzygających odpowiedzi na pytanie o profil elektoratu nowej prawicy, ale z pewnością stanowi pierwszy krok na drodze ku jego usystematyzowanemu rozumieniu. ©

Słuchaj także podcastu GRAPE|Tłoczone z danych Czego legalizacja aborcji może nauczyć o sprzedaży?

Lukasz

Krzempek

Autor jest ekonomistą GRAPE